N. 32. WARSZAWA d. 28 Lipca (10 Sierpnia) ROKU 1872.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.



Treść Numeru. Ze Wspomnień kobiety powieść oryginalnie napisana przez Marję Dekalk.—Myśl przy wieści o śmierci St. Moniuszki. (Wiersz)—Tricotrin przez Ouida studjum z literatury angielskiéj przez Walerją Marrené.—To i owo.—Przegląd literatury polskiéj.—Instytut głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie.—Obrazy na wystawie towarzystwa zachęty sztuk pięknych.—Różne wiadomości.—Miłość Dziewicy opowiadanie z wypadków prawdziwych.—Przytem dodatek z drzeworytami.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marję Dekalk.

(Dalszy ciąg.)

— Na to tylko, aby mię późniéj okryć przed jego promiennem obliczem, szarym obłokiem złośliwości, powiedział pan Amilkar.

— Nie! na to abyś się stał pokornym satelitą, wybladłym księżycem żebrzącym jaśniejszego promienia! odparła szybko kuzynka, topiąc w nim kolące choć ładne oczy, mieniące się różnemi kolorami.

Nie zrozumiałam ich dobrze, lecz ożywiona udzielającą się wesołością kuzynki Dosi, zaczęłam na inny temat rozmowę, która trwała bardzo długo. Odzyskałam swobodę, i bez trwogi już patrzyłam na zebranych gości. Po herbacie, kuzynka Dosia uprosiła mię abym grała. Wahałam się trochę, ale kilka głosów przyłączyło prośbę. Poszłam więc, i chcąc przywołać wspomnieniem Jarosława, który w drugim zostawał pokoju, zagrałam Rondo capriccioso, pamiętne dla mnie rondo, grane w dniu poznania ukochanego.

Zapomniałam że mam tylu słuchaczy. Z zamiłowaniem oddawałam ustępy, a skończywszy, przestraszyłam się oklasków, któremi mię obsypano.

Jarosław podziękował mi spojrzeniem. Powstałam, lecz pan Amilkar znałazł się tuż przy mnie i osobą swoję zagrodził wyjście. Usiadłam napowrót, a on rzekł powoli:

— Bardzo pięknie grasz pani, ale obok zachwytu nad czuciem i precyzją, byłem jeszcze zajęty innym przedmiotem.

— Czem? zapytałam.

— Obserwowałem twarz pani podczas jej gry. Odbijały się tam różne obrazy; wyraźnie miłe jakieś wspomnienienia wiążą się do odegranéj kompozycji powiedział znacząco.

— Oh! rzeczywiście, rzekłam z całą szczerością, ucieszona że tak łatwo odgadł stan méj duszy, i dodałam ciszéj, nie bez ogromnego rumieńca: to rondo grałam po raz pierwszy w dzień poznania Jarosława.

Pan Amilkar nagle zamilkł i odsunął się na krzesełko, zagryzając usta. Nie wiedziałam co było przyczyną téj zmiany, obawiałam się czy nie powiedziałam jakiéj niedorzeczności. Milczenie trwało chwilę, cichy, ale dźwięczny śmiech przerwał je gwałtownie. Spojrzeliśmy. Dosia stała naprzeciw, i pokazawszy coś Amilkorowi na migi, śmiała się błyskając białemi ząbkami. Ten zaczerwienił się nagle, powstał i wyszedł do drugiego salonu.

Kilka osób zbliżyło się do mnie: rozmawiałam wiele; przysunęłam się potem do matki i odebrałam od niéj pochwałę za muzykę.

— Dobrze grasz Janko, rzekła podając mi rękę, którą pocałowałam,—bardzo dobrze.

Wracałam z wizyty dosyć zadowolniona w nieskończenie lepszym humorze, niż go miałam wyjeżdżając.

Rodzice byli chłodni, ale to przypadało ich twarzom i obejściu; wszyscy zresztą grzeczni i dobrzy, a kuzynka Dosia milutka jak cukierek.

Opowiadałam te wrażenia Jarosławowi, który słuchał z uśmiechem, i rzekł:

— Zapomniałaś o najpierwéj zrobionéj znajomości, pani Karolinie!

— Ah nie! podobała mi się bardzo!

— Pokochasz ją pewno,—to wzór kobiet, ideał dobroci i cnoty, tylko chora biedaczka prawie ciągle.

— Jakże mi jéj żal! Ale Dosia, jakież to sympatyczne stworzenie! zawołałam, nie mogąc zapomnieć ładnéj kuzynki, któréj żywość więcéj mię wabiła, niż blada łagodna twarz pani Karoliny.

Jarosław przeszedł się po pokoju, i nakoniec rzekł:

— Dosia wielką dzisiaj zrobiła ci przysługę, znajomiąc odrazu z towarzystwem, i rzeczywiście ona tylko pomogła ci do zabawy. Ale, moja najdroższa Janko, to nie jest kobieta mogąca ci być przyjaciółką!

— Dlaczego?.. spytałam zdziwiona.

— Lekka, płocha jak zepsute dziecko, mimo że już dawno dzieckiem być przestała.

— Ależ ona tak młodziutka, miła.

— Dosia, ma lat dwadzieścia siedem, i jest od czterech lat wdową, odrzekł jakoś niechętnie Jarosław.

— Czy to być może! Tak młoda i już i wdowa, a taka ładna i świeża!—zawołałam zdumiona.

Jarosław się uśmiechnął, i objąwszy mię rękoma, obdarzył pocałunkiem—co naturalnie odwróciło moją myśl od kuzynki, i zapomniałam nawet pytać się daléj o powód tego niezbyt przyjaznego dla niej usposobienia.

W parę dni potem ojciec do nas przyjechał. Starałam się go przyjąć jak najlepiéj, ale surowe jego obejście raziło mię niewymownie. Zadawał mi wiele pytań, jakby pragnąc wyegzaminować. Cały obiad siedziałam jak na mękach, Jarosław zdawał się tego nieuważać, co mię jeszcze bardziéj bolało.

Oddawaliśmy wizyty krewnym, i byliśmy u pani Karoliny, czyli u państwa Z, bo mąż jéj jest bardzo przyjemnym człowiekiem. Pani Karolina powitała nas serdecznie; mimo choroby, tak jest miłą, tak umie zjednać sobie serce każdego, że z prawdziwą przyjemnością słuchałam jéj słów rozumnych, nacechowanych dobrocią i wielką znajomością świata. Dowcipna bez cienia złośliwości, rozwesela nie raniąc nikogo. Obiecywałam sobie często ją odwiedzić. W parę tygodni przypomniałam sobie, że kuzynkę Dosię należy wizytować. Powiedziałam to Jarosławowi, ale ten odparł stanowczo, że tego nie zrobi.

— Przyjedzie tu sama niezawodnie!—dodał.

Nieco nadąsana siedziałam w pokoju z książką w ręku, gdy turkot powozu oznajmił przybycie gości. W minutkę do salonu wbiegła lekko Dosia, cała w falbanach różowego muślinu.

Szyderczy uśmiech Jarosława, który grzecznie ścisnął jej rączkę, wyraźnie pytał tryumfająco, czy nie miał słuszności nie chcąc do niéj jechać?

— Parbl eu! krzyknęła Dosia zaraz z progu, jak można mi tak ubliżać? Janko!—czyś już mię zupełnie zapomniała?

Te słowa wymówiła zwrócona do nas obojga, z nieokreślonym wdziękiem pochylając ufryzowaną główkę.

Przeprosiłam ją serdecznie, krzywiła usteczka i tupała maleńką nóżką obutą starannie, ale wkrótce rozśmiała się srebrzystym głosem, rzuciła się na kanapkę w wybornym już humorze.

Jarosław wyszedł do gospodarstwa, a Dosia pociągnęła mię do ogrodu, i zwróciła rozmowę na dom rodziców mego męża.

— Ah! jak mnie cię żal było Janko, mówiła, w jak dziwnie fałszywem przedstawiono cię świetle!

Ale... bo, dodała ciszej, to są szczególni ludzie.

Nie przerywałam jej, bo byłam ciekawą dowiedzieć się coś o nich. Jarosław nigdy o tem ze mną nie mówił...

— Widzisz Janko, ojciec Jarosława jest potomkiem ładnej ale bardzo zubożałej rodziny, który całego majątku własną dorobił się pracą. Surowej cnoty ale i żelaznej nieugiętości woli, cały zmienił się w cyfrę i rolnicze narzędzie. Żona jego, to wielka dama, hrabianka, która przeżywszy jak się zdaje wielki jakiś *kazus* zapewne sercowy, obojętnie oddała mu rękę, nawet dość duży wniosła posag. To ożenienie było czystą z obudwóch stron spekulacją. On brał hrabiankę i wiano, ona skompromitowana w oczach dystyngowanego towarzystwa, uchroniła się losu staréj panny! Zabawne ich pożycie! dodała śmiejąc się Dosia, jak dwie chińskie figurki, kiwają tylko do siebie głowami, i tylko w nadzwyczajnym przypadku przemawiają monosylabami.

Strasznym mi się wydał ten obraz. Drżałam cała jak oblana zimną wodą. Jakąż czarną otchłań ukazywała mi po raz pierwszy kuzynka Dosia! I mówiła to ze śmiechem, zalotnie potrząsając lokami, rumiana, swobodna! Powiedziałam jéj myśl moją; rozśmiała się błysnąwszy białemi ostremi ząbkami.

— Ah! mój ty aniele!—ty na widok nieznanych ci grzechów ludzkich odwracasz przerażone oczy, przywykłe do światła niebieskiego. Ha! ha! posłuchaj mojej historji, niechże twoje skrzydła śnieżyste pył ziemi obciąży!...

— Zapewne nie wiesz że jestem wdową!—zaczęła.

— Wiem! Jarosław mi to mówił—odparłam.

— Mówił ci to?..ah! tem lepiej!.. Opowiem ci całe moje życie!—rzekła niby wesoło, ale jakimś urywanym, przykrym głosem. Moja złota, daj mi cygaretkę! Dym jéj zbierze lepiéj moje wspomnienia!

— Pobiegłam do pokoju Jarosława i przyniosłam jéj papierosy. Zapaliła i zaczęła, ułożywszy się na trawniku najpowabniej w świecie.

— Rodziców nie pamiętam, doszła mię tylko tradycja, że matka była cudownéj piękności szlachcianeczką ubogą, z którą ożenił się młody panicz, i że oboje tracąc ciągle majątek umarli prawie razem, zostawiając mi w spuściznie wioskę tak zadłużoną, że nie mieli na niéj grosza własnego, i pełne szafy i pudła paryzkich łachmanków. Chowałam się u siostry ojca w Warszawie, i przez szparę drzwi w salonie, widziałam przesuwające się obrazy elegancji i zbytku, któ re zrodziły we mnie gwałtowną żądzę zabawy i strojów. Ciotka, wykwintna dama, miłosiernego serca, pozwalała mi niekiedy, gdy gości nie było, siadać do stołu i nosić jedwabne sukienki, przerobione z jéj własnych niezdatnych do użytku. Resztę czasu spędzałam w garderobie pośród dziewcząt służebnych, które mię nie cierpiały, za co im się sowicie wypłacałam, skarząc na nie przed ciotką. Pewnego dnia stałam w wytwornym budoarze ciotki, napawając się widokiem tylu pięknych rzeczy, gdy nagle za mną odezwał się jakiś głos męzki nieznany:

— Jakież to piękne stworzenie! czy ta mała kokietka jest twoją córką, hrabino!

Zwróciłam się i ujrzałam niezbyt młodego pana, który włożywszy na nos szkiełka przypatrywał mi się z uwagą! Miałam wtedy lat trzynaście—ubiór mój niestosowny, bo składający się z wyciętéj jedwabnéj sukni i rozpuszczonych włosów, odznaczał się jednak pretensją i pewnym wdziękiem, bo namiętnie lubiłam się stroić. Śmiało spojrzałam się na lornetującego jegomości, gdy nagle ciotka zawołała:

— Alez vous—en! Dorotie!

— Jak można wchodzić bez pozwolenia, zwróciła się do niego z gniewem.

Wyszłam, ale rzuciwszy jeszcze raz wzrokiem na grzecznego pana.

— Sapristi! quelle beauté! zawołał, nie zważając na ciotkę.

Na drugi dzień ciotka przyszła do garderoby i zawoławszy mię popatrzyła przenikliwie, potem wzięła za rękę i zaprowadziła do małego pokoiku na drugiem piętrze.

— To twój pokój—Dosiu! będziesz w nim mieszkała, a za kilka dni dostaniesz nauczycielkę!—powiedziała i poszła.

— Pokoik był ciemny, ale czysty i dość ładnie umeblowany. Na półce leżało kilkanaście książek. Wzięłam jednę z nich i zaczęłam czytać; była to „Fabiola...

Czytałam bez przerwy, płakałam nad losami szlachetnych bohaterów; porównywając się z nimi, zlękłam się swéj niższości i zapaliłam się gwałtowną chęcią dorównania im poświęceniem dla świętych celów! Przez dni kilka żyłam samotnie; panna służąca ciotki przychodziła co rano z zapytaniem, czy czego nie potrzebuję? Pomywaczka pełniła obowiązki pokojówki. Siedziałam i czytałam. W kilka dni, do pokoju mego weszła ciotka w towarzystwie bladej, wysokiej kobiety, ubranéj ciemno, średniego wieku, i rzekła do niéj:

— Oto uczennica pani!

Kobieta zbliżyła się, odgarnęła włosy opadające mi na twarz w nieładzie i pocałowała w czoło.

Wiedziona mimowolnym instynktem, przycisnęłam do ust jéj rękę, łzy mi się puściły z oczu. Pierwsza ta pieszczota wruszyła mię do głębi!..

Cztery lata przebyłyśmy razem z Heleną,—takie było jéj imię; cztery lata najpiękniejsze w mojem życiu... Ciemny mały pokoik zmienił się na świątynię, gdzie składałyśmy ofiary każdéj wznioślejszéj myśli. Pracowałyśmy, płakały... śmiały się razem, marzyły na jawie... Zapomniałam dawniejszych pragnień, pod wpływem Heleny stałam się czystą jak święci otaczający tron Boga... pragnęłam tylko jak oni, cierpieć dla Chrystusa i umrzeć w jego łasce... Ha!... ha!...—zaśmiała się Dosia dziwnie, byłam duszą i ciałem bielsza od święconego opłatka!...

Ścisnęłam jéj rękę z uczuciem, pojęłam że pod pokrywką wesołości tkwi ból i smutek głęboki. Ona tymczasem chwyciła zapomnianą cygaretę, chciała ją palić, nie uważając że dawno zagasła. Rozśmiała się znowu i rzekła:

— Wszystko to było!.. ale minęło jak gorączkowe sny, rozwiało się jak popiół téj cygarety, wygasło i zamarło!..

— Ciotka zaziębiła się wracając z balu i skonała jak świątobliwa i przykładna chrześcijanka. Jedyny jéj spadkobierca, któremu co prawda nie wiele się dostało, zabrał mię do siebie, a Helenie sumiennie zapłacił co należało i powiedział, że ponieważ panna Dorota jest już dorosłą, więc guwernantki niepotrzebuje.

Opiekunem tym był ojciec Jarosława.

— Ah!—krzyknęłam zdziwiona, więc chowaliście się razem?..

— Nie mówił ci o tem?.. a tak, on był znacznie młodszy odemnie, gdym przybyła do jego domu. Właśnie wyjeżdżał do szkół i tylko parę razy na rok widywałam go, odparła zimno Dosia.

Trzy lata pobytu na wsi, wyleczyły mię z egzaltowanych mrzonek. Poznałam, że bez pieniędzy źle na świecie... a poświęcenie, to łachman znoszony który nie ozdobi ani zagrzeje!..

Wzdrygnęłam się na ton lodowaty jakim wyrzekła te słowa. Dosia poprawiła loków i mówiła daléj:

— W dwudziestym roku poszłam za mąż!..

— I pokochałaś?.. byłaś szczęśliwą?.. pytałam pragnąc choć jeden wesoły uchwycić w jéj mowie odcień. Duszno mi było i ciężko na sercu.

— O!.. odparła śmiejąc się, być może, ale nie mego męża!.. Był to ten sam jegomość lornetujący mię w budoarze, stary, zmęczony światem i życiem, lecz bogaty i kochający mię do szaleństwa!

— A potem? spytałam machinalnie.

— No! umarł sobie i zapisał mi majątek, wcale piękną wioskę, oraz nieco kapitału. Chodziłam w żałobie, a dziś pocieszyłam się i mówiąc za jego duszę pacierze, używam sobie przyjemności świata.

— I... i to ci wystarcza?.. jesteś szczęśliwą? zapytałam wpatrując się w nią uważnie.

— Szczęście?!.. i cóż jest szczęście?.. Fata morgana lub, niekiedy czara odurzającego napoju działającego na zmysły chwilowo!.. Gdzie szukać szczęścia, w miłości czy cnocie? Kochanek opuści lub zbrzydnie, zestarzeje się lub okaże cynicznym... wszystkie święte praktyki staną kością w gardle—a szczęścia nie uchwyci się śladu. Nicość!. mrzonki!..

— Na Boga! Dosiu! co mówisz!.. wszak mamy ludzi szczęśliwych na świecie!.. Weź nas, jesteśmy zupełnie szczęśliwi!.. zawołałam przerażona.

— Oh!.. zawcześnie trymfujesz!.. Jeszcze nie ręcz czy ci kto twego szczęścia nie ukradnie lub nie zamąci!..

Czas zabierze po trochu uniesienia miłosne i urok idealny... Nagle odkryjesz jaką niedostrzeżoną wadę w mężu, obojętność albo rachunkowość zbyteczną naprzykład, a wtedy zobaczymy jak ocenisz to zupełne szczęście!.. zaśmiała się głośno.

Zasłoniłam twarz rękami!—słowa Dosi sprawiały mi takie uczucie bólu w sercu, że rozpłakałam się.

Kuzynka nagle zmieniła ton i najswobodniéj zawołała:

— Rozdrażniłam cię? Wybacz mi... to już moja właściwość! Ale gdzie twój mąż?.. czy pozwalasz, aby w miodowym miesiącu opuszczał cię na tak długo?

— Ah! Dosiu! to okropne co ty mówiłaś!.. rzekłam tłumiąc łzy.

— Jarosław przyjdzie, ukochaną utuli!.. mówiła Dosia uśmiechając się ciągle.

Rzeczywiście po chwili przyszedł; rzuciłam się ku niemu i zawołałam:

— Oh! pójdź mój drogi!.. kuzynka Dosia takie straszne o szczęściu mówiła rzeczy.... nawet zaprzeczała jego istnieniu!..

— A dziecko zlękło się upioru!.. wsunęła Dosia złośliwie.

— Szczęście od nas samych zależy! powiedział Ja-

rosław poważnie—postępujmy zawsze według prawdy, a posiądziemy go całkowicie!

— A gdzie jest ta prawda?.. zapytała Dosia.

— Instynkt czyli przeczucie prawdy, istnieje w sercu każdego człowieka. Słyszymy zawsze jéj głos, ale tłumimy go głosem namiętności i sami odrzucamy szczęście od siebie!

— Więc pan uważasz szczęście jako nagrodę za szlachetne czyny?

— Uważam jako naturalną ustawę sprawiedliwości Boskiéj, że dobremu robotnikowi w winnicy Pańskiéj, wypłacają całkowitą należność jego!... odparł Jarosław.

Dosia zamilkła, a ja umocniona słowami Jarosława uśmiechnęłam się wesoło, i korzystając z mroku wieczornego przycisnęłam usta do jego ręki. Nie pozwalał mi na to nigdy, ale tym razem nie gniewał się, tylko przytulił mię mocniej do siebie! O! my byliśmy bardzo szczęśliwi!

Dosia odjechała; powtórzyłam jéj opowiadanie Jarosławowi, z wyjątkiem szczegółów o jego rodzicach i przepowiedni na przyszłość. Wysłuchał w milczeniu moich słów, i rzekł zwracając na mnie swoje duże, rozumne oczy:

— Nie wiem nic z dawnej przeszłości Dosi, pamiętam ja tylko mężatką, piękną i wabiącą, otoczoną zawsze młodzieżą, przyjmującą zuchwale hołdy i oświadczenia, otwarcie narzucającą swoją miłość tym którzy jéj przypadli do gustu.

— Bez względu że nie jest wolną... spytałam zdziwiona.

— Nie myślała o tem wcale! Jednak z powodu swego wykształcenia, urody, majątku, jest przyjmowana chętnie w naszem kółku, i ty możesz jechać do niéj czasem, powiedział Jarosław.

— A ty?

— Ja nie pojadę! wyrzekł stanowczo, i zamyślił się...

Postać i słowa kuzynki Dosi utkwiły mi w pamięci, w nocy nawet śniłam o niéj i po razy kilka wymówiłam jéj imię. Obudziwszy się, ujrzałam Jarosława wpatrującego się we mnie z twarzą niespokojną.

— Moja najdroższa, co tobie?.. zapytał, rzucałaś się we śnie, płakałaś wołając naprzemian mnie i Dosi.

— Ah! mój ukochany! Miałam sen straszny!.. Zdało mi się, że Dosia zmieniła się nagle w węża i chciała mię udusić!.. zawołałam jeszcze zmęczona widzeniem.

— To niebezpieczna istota, kiedy cię nawet we śnie prześladuje! powiedział śmiejąc się Jarosław—pożegnał mię spiesząc do gospodarstwa.

Listy mateczki i Marjana oderwały mię od teraźniejszości, uprzytomniwszy żywo tak niedaleką przeszłość, a przecież już niepowrotną.

Czerwiec się skończył, nadszedł Lipiec, a z nim nieznośne gorąca. Jarosław wyjeżdżał często do rozpoczynającego się żniwa,—mnie przyzwyczajonéj do ciągłego towarzystwa, nudziło się saméj bardzo. Matka była raz u nas na krótko, wiecznie zimna i sztywna. Siedziałam jednego dnia w salonie czekając z obiadem na Jarosława; smutno mi było i usłyszawszy jego głos w przedpokoju: wybiegłam mówiąc:

— Ah! tak dziś długo czekałam! tak mi bez ciebie nudno!..

— Dobréj gospodyni i pani domu nigdy nie powinno być nudno! odezwał się głos ojca.

Zarumieniłam się na przymówkę, ale tłumiąc niechęć, rzekłam całując go w rękę:

— Ojciec powiedział tak, jakby mi chciał odjąć te przymioty!

— W istocie, nie okazujesz ich, moja pani! rzekł krótko.

Osłupiałam! uśmiech zamarł mi na ustach, nie wiedziałam co to ma znaczyć.

Jarosław milczał jak skała.

— Idzie o to! że podczas gdy pani domu nudno, szafarka robi co jéj się podoba, nie wydaje dostatecznéj ilości jadła dla bandosów, i kilkunastu z nich w czasie najgoręzszych żniw uciekło do mnie, skarżąc się że nie mają co jeść!—rzekł ojciec z gniewem.

— Ale, mój ojcze! ja nic o tem nie wiem! wyjęknęłam zmięszana, zarumieniona i bliska płaczu.

— Otóż, to źle! bo do kogóż to należy? Mimo że mąż twój ma majątek, nie powinnaś rąk opuszczać, lecz pomnażać go wspólną pracą! Przecież jesteś ze wsi, nie księżniczka lub miastowa dama, zkądże więc taka nieumiejętność zarządzania domem?

— Ja dotąd nie znam się nic na tem!...tłumaczyłam się bezprzytomna prawie.

— A! to cię dziwnie chowali, moja pani!—wyrzekł ojciec i usiadł ciężko na krześle.

Tego już było nadto! Wybiegłam z salonu płacząc boleśnie, i schroniłam się do mego pokoju. Szorstkość ojca wydała mi się okropną zniewagą, tyraństwem! obojętność Jarosława i milczenie, brakiem czułości i przywiązania! Płakałam długo, Jarosław przyszedł, blady, poważny i pocałował mię w czoło.

— Uspokój się Janko!—powiedział—ojciec jest surowy, gwałtowny i w przykry sposób wyraził swoje zdanie, ale nie bierz tego tak bardzo do serca, i pójdź do obiadu.

— Tyś pozwolił na to i nie broniłeś mię? zawołałam..

— Nie mogłem inaczej postąpić, cały mój majątek pochodzi od ojca, nie powinienem występować przeciw jego woli...

— Ależ ja nie należę do inwentarza Klonowskiego, mnie nie powinien ubliżać! zapłakałam znowu. Jarosław ściągnął brwi! i powiedział chłodno:

— Powiększasz moją przykrość, oskarżasz ojca o niesłuszną gwałtowność, a sama dajesz jéj dowody!

Proszę cię, moja droga! uspokój się i pójdź, dodał łagodniéj widząc moją boleść.

Poszłam, ale nie zastaliśmy już ojca, odjechał do siebie bez pożegnania!

Podano obiad. Jeść nic nie mogłam, Jarosław był milczący, pierwszy to dzień mieliśmy tak smutny.

Po południu poszłam do fortepianu, zaczęłam grać, ale łzy mi niedozwoliły dokończyć. Głośne łkania wydobywały się z méj piersi...Jarosław mię tulił do siebie, ale znać było że go męczył mój wybuch żalu i nie wiedział co mówić. Stłumiłam płacz, ale uczułam brak tkliwego serca mateczki, coby podzieliła mój smutek i ukoiła go serdecznemi słowy.

Czułam że mój miesiąc miodowy już się skończył, a twarde kolce rzeczywistego życia zraniły mię na wstępie.

Jarosław wybierał się jechać w pole. Przypomniałam sobie kuzynkę Dosię i pragnąc się rozerwać zaproponowałam przejażdżkę do niéj. Jarosław odparł lakonicznie.

— Jak chcesz... konie gotowe!

— Czy się gniewasz na mnie? zapytałam trwożnie.

— Bynajmniéj! powiedział i pożegnał mię uściskiem. Czułam jednak że mu coś było, że nie był zadowolniony. Z ściśniętem sercem pojechałam do Dosi. Zastałam ją czytającą romans pani Sand, zawsze ładną, śmiejącą, choć nieco bledszą niż zazwyczaj.

Poznała natychmiast mój smutny humor, i zręcznie pomału wyciągnęła odemnie cały opis rannéj sceny.

Roześmiała się, lekko zgrzytając ząbkami i rzekła.

— O!.. poznaję ich!.. Głazy!.. Biedne dziecię! chcą z ciebie zrobić klucznicę!.. nic więcéj!..

Przykro mi było, że mówi w liczbie mnogiéj. Żałowałam méj gadatliwości, ale już było zapóźno.

Dosia spostrzegła co myślę, zmieniła temat rozmowy, zaczęła coś o muzyce, i nagle zawołała:

— Ah! droga Janko! oczarowałaś kompletnie na owym wieczorze jedną osobę. Rondo capriccioso oplotło go tonami jak magicznem kołem.

— Kogo? zapytałam najniewinniéj w świecie.

— Wyobraź sobie—Amilkara! Ten niezwyciężony Don Juan, który żartował sobie ze wszystkiego, wzdycha na wspomnienie ronda i pięknéj artystki, mówiła wesoło Dosia.

— Ale cóż znowu! odezwałam się zarumieniona, sama nie wiedząc czego. Było coś dziwnego we wzroku i mowie kuzynki Dosi, i każde słowo przez nią wymówione nabierało silniejszego znaczenia. Niepodobna było być z nią, żeby nie rozweselić się, nie nabrać chętki do śmiechu i nie ożywić się pod wrażeniem jéj nieustającéj ruchliwości.

W chwili gdy przestałam mówić, Dosia zaśmiała się i zawołała:

— Jesteś prześliczna z twoją minką spłoszoną! tylko pozwól mi dodać ci jeszcze nieco...Jakże się tu wyrazić?.. oto, nieco efektu sztuki do twéj naturalnéj piękności! Pozwól niech cię uczeszę inaczéj.

(d. c. n.)

MYŚL

PRZY WIEŚCI O ŚMIERCI ST. MONIUSZKI.

Skonał śpiewak. Ostatnie harmonii tony
Ścichły w ustach minstrela. Struna życia pękła,
Praca... wieniec... mogiła... Jękły głucho dzwony,—
U słuchacza rozdarta w bólu dusza jękła,—
A słuchaczem był—naród!!... Na jego pogrzebie
Pieśni jego ton płynie:.....
Pochód.. podróż ostatnia... Odpoczynek w ziemi....
—„Dokąd śpieszysz, dzieweczko z oczki spłakanemi?"
—Ja? na pogrzeb Moniuszki.—„Któż to, moje dziecię?"
—Czy pan nie wiesz? Nasz śpiewak: jego „Szumią jodły"
„Trzy prząśniczki" mnie mama uczyła... On w świecie
Bardzo wielki. „Po cóż idziesz?" Wznieść za duszę modły
Poszło sobie. Łza czysta w mém oku zabłysła:
Skonał śpiewak. Głos z jego słowiczego łona
W tysiąc lat się rozpłynie, odgłosem odbije,
W miljon serc się rozpryśnie i nigdy nie skona;
Tylko człowiek śmiertelny, lecz pieśń wielka żyje.
Ha! więc ludzie znać cenią prawdziwą zasługę...
Mają serca, są dobrzy... Za cóżem oddychał
Myślą czarną?... zwątpienia czemum wzniósł maczugę?....
Świat nazywał hyeną, ludzkość w przepaść spychał?..
Zimny, dziki sceptycyzm Hejnego, Byrona,
Lukrecjusza truciznę wysysał łakomie?
Nowe światło zabłysło. Dusza rozjaśniona
Wierzy, kocha, śni znowu. Przekleństwo Sodomie,
Przekleństwo! szepczą usta; jam zgrzeszył, jam winny,—
Dziś odżyłem... Moniuszko! laurem pamięć twoją
Dziś wieńczymy; w miłości dla młodzieży słynny,
Tobie niosę młodzieńczą część i wdzięczność moją.

F. M. Ejsmont.

TRICOTRIN

PRZEZ

OUIDA

STUDJUM Z LITERATURY ANGIELSKIÉJ

PRZEZ

Walerją Marrené.

(Dalszy ciąg.)

Nikt go nie słuchał, wyjąwszy ptaków leśnych i owadów ukrytych w trawie; on grał dla samego siebie godzinę lub dwie, dla miłości natury i sztuki, gdy niespodzianie głos jakiś niewyraźny uderzył jego ucho, i idąc za nim, o kroków kilka odkrył położoną na mchach i paprociach prześliczną kilkoletnią dziewczynkę głodną i płaczącą.

To dziecię, jest to przyszły los Tricotrin'a.

On co nie mógł znieść nawet cierpienia niemego zwierzęcia, naturalnie biorąc w opiekę biedną sierotkę, oddaje ją staraniom staréj kobiety, matki Róży Villerois.

Samotna kobieta, która straciła dzieci i została się jedna na świecie, z ochotą przyjmuje piękne dziecko, a Tricotrin pracuje na jego utrzymanie.

Dziecię wzrasta wśród miłości i pieszczot, w stosunkowym dobrobycie, chata w któréj mieszka z matką Różą, jest czysta i dostatnia, nigdy nie brakuje chleba ni ognia w wielkim kuchennym kominie. Sama siebie nazywała *Vivą*, imię to jéj zostaje, Matka Róża uczy ją wszystkiego co umie sama, nadewszystko znosić cierpliwie życie, i zadawalniać się prostym bytem i egzystenciją bez słońca, ale Tricotrin słusznie przepowiada, że nauki te zwalczą dwa szatany ukryte w każdéj prawie pięknéj kobiecie: próżność i żądza bogactw. Pomimo to, zwolna przywiązuje się do wychowanki, coraz częściéj w wędrówkach swoich zagląda do chaty staréj Róży.

Viva wyrasta na cudną dziewczynę, ma lat piętnaście zaledwie, nie wie co to świat i jego pokusy, a jednak ciasno jéj w chacie,—ludzie z którymi przestaje, wydają jéj się z innéj gliny, niż ona sama ulepieni,—żywa, samowolna, kapryśna, rządzi wszystkiem co ją otacza, w. poblizkim klasztorze uczy się trochę, ale najwięcéj mądrości zasięgnęłaby z rozmów Tricotrin'a, gdyby mądrość ta mogła przystać do jéj płochéj, sobą tylko zajętéj główki.

Dwanaście lat upłynęło jak znalezioną została na mchach leśnych, a te lat dwanaście, pełne były długich, słodkich rozkoszy dziecinnych. Żyła skromnie, w chacie nad brzegiem rzeki, ze starą prostą kobietą, ale ta kobieta kochała ją nieskończoną miłością. Kwiaty, owoce, obrazowe życie w winnicach, uroczystości żniwne, składały się dla niéj na złote dni młodości. I od zmroku gdy zasypiała swobodnie w swém białém łóżku ocienionem firankami pod szmerem modlitw odmawianych nad nią, aż do świtu przy którym się budziła z rozkoszą do dnia nowego, Viva prowadziła proste, szczęśliwe życie wiejskiego dziecka, i była też szczęśliwą jak tylko dzieci szczęśliwemi być mogą.

Rozwinęła się cudownie, jakby naprzekor tym którzy ją porzucili w lesie. Wzrosta w siłę i wdzięki na czarnym chlebie i koziem mleku, jak nie rozwiją się królewskie córki w złocistych pałacach.

Znała swoją historję; Tricotrin nie chciał ją przed nią ukrywać, i kołysana legendami o wieszczkach i czarownikach, złych i dobrych genjuszach, lubiła myśleć, że jest córką sylfów lub zaczarowanéj księżniczki, a lud okoliczny gotów był uwierzyć w ten nieziemski początek. Wszędzie kochano ją i pieszczono, raz dla jéj wielkiéj piękności, więcéj jeszcze dla tego, że opiekował się nią Tricotrin.

Pomimo to, inne dzieci w klasztorze zaczynały się z niéj wyśmiewać, że nie miała ani rodziców ani nazwiska. Viva skarżyła się opiekunowi, że nie jest taką jak wszyscy.

— Nie taką jak wszyscy, odpowiada Tricotrin z uśmiechem moje dziecię, i nogi twoje są mniéj szybkie, członki mniéj silne, a twarz mniéj piękna? Czy słońce tak samo nie świeci tobie jak innym, kwiaty nie mają tych samych zapachów, a sen twój czy jest mniéj słodki? Natura była bardzo dobrą, i wspaniałomyślną dla ciebie, poprzestań na jéj darach. Jesteś jak swobodna lilia nad brzegiem rzeki, nie zazdrość kwiatom przeniesionym do cieplarni, w których więdną i umierają, Viva uśmiechała się, ale nie była przekonaną, i odpowiadała:

— Jednak to nieprzyjemnie nie mieć nazwiska, tylko to imię Viva nie znaczące nic wcale, tak samo jak kotek nasz zwie się Bebe, lub kogut Roi doré.

— Ah! gdyby Bebe i Roi doré umieli mówić, opowiedzieliby ci pewno, że im to wszystko jedno, byle wołał ich głos, ukochana i dobroczynna ręka sypała im ziarno. Nazwisko człowieka, to niby ucho u wiadra,—byle wiadro dawało czystą wodę ustom spragnionym, cóż znaczy jak ucho jego jest wyrobione.

Viva przyzwyczajona do jego metaforycznéj mowy, zrozumiała od razu do czego zmierzał, ale nie dała się przekonać tak łatwo, i strojąc nadąsaną minkę ślicznemi ustami odparła:

— Przecież kiedy się jest ładnym, porcelanowym garnuszkiem, to nieprzyjemnie mieć drewniane ucho, służyć tylko do tego do czego służyć może prosty gliniany garnek.

— Więc, zawołał Tricotrin, sądzisz się ulepioną z Sewrskiéj porcelany, moja mała— dobrze więc, zaręczam ci, że nie będziesz nigdy tak użyteczną jak poczciwy gliniany garnek, którym pogardzasz, nie mogę sympatyzować z dumą zasadzającą się na bezużyteczności.

Dziecko pojęło naganę, przecież odparło:

— Każden prosty garnek, chciałby przemienić się w porcelanę gdyby mógł tylko.

— Toby nie świadczyło za jego rozumem, ale ja sądzę przeciwnie, znam wiele uczciwych glinianych garnków, które za nic w świecie nie zmieniłyby swego losu i kontentują się tem, że za ich pomocą dzieci wyciągną wodę ze studni i odwilżą spragnione usta, że podsycą kwiaty więdnące od skwaru i napoją wiernego psa na łańcuchu.

Podobne nauki Tricotrin słowem i przykładem dawał wychowance swojéj napróżno.

— Dumna jak królowa, mówił sam do siebie, a żyje pomiędzy wieśniakami, piękna jak zorze a bez matki i nazwiska, gotowa raczéj zginąć niż ustąpić, a kobieta, zamiast lasu i chaty żąda pałacu. Nie trudno los jéj wywróżyć...

Gdy tak myślał, zrobiło mu się smutno na sercu bo kochał ją; nie była to miłość, a jednak uczucie to trudno było scharakteryzować,— dziecię wzrosło pod jego okiem, jakby jego własne, ratując jéj życie czuł, że zaciągnął obowiązki i spełniał je wiernie, cierpliwie. I ona także kochała go w zamian, jego jednego słuchała chętnie, jemu jednemu poddawała dumną wolę; on był dla niéj ojcem i matką i rodziną i światem, a chociaż była próżną i samolubną jak zwykle pieszczone dzieci, wszystko co miała z serca jemu oddawała. Ale niepokój był w jéj młodym umyśle, nie wystarczało jéj życie które wiodła.

Otóż w czasie nieobecności Tricotrina, Viva ze starą matką Różą zwiedzała pałac angielskiego Lorda, kupiony w sąsiedztwie pałacu Estmer'a. Tam uśpioną wśród kwiatów ujrzał ją syn jego młody Lord Chanrallon i od téj pory zarzucił sieci swoje na niedoświadczoną dziewczynę.

Viva wyobraziła sobie, że jest to ów bajeczny królewicz, który we wszystkich opowiadaniach wieśniaczych, przychodzi zesłany przez dobre wieszczki na ratunek królewny zaklętéj w pasterkę. Chanrallon obiecuje ziścić wszystko czego dziewczyna pragnie, obiecuje jéj pokazać świat wielki, i ten Paryż tajemniczy o którym ona zaledwie śmie marzyć.

Tricotrin przychodzi w samą porę, by ustrzedz ją od niebezpieczeństwa, w chwili gdy oszołomiona jego obietnicami, już! już! skłonić się miała do ucieczki z nim, nie domyślając się jego niecnych zamiarów.

Jedno jego słowo: „Viva" zatrzymuje ją na miejscu.

— Kto jest twój nowy przyjaciel, pytał napozór spokojnie.

— Kto, odparła dziewczyna, zaledwie słyszalnym głosem, to królewicz jakiś, zdaje mi się, on dał mnie tak piękne rzeczy, jakich nie ma na ołtarzu w kościele, chce mnie wziąść do Paryża i pokazać wszystko co piękne, obiecał mi róże, które nigdy nie więdną, i brylanty i życie królewskie. Czy pozwolisz mi iść z nim? czy pójdziesz z nami? uszczęśliwiemy matkę Różę. On powiada, że kiedy ja będę na ulicy, to już na nikogo innego nie spojrzą.

Wymawiała to wszystko bez tchu prawie, mieszając dziwnie samolubstwo i wspaniałomyślność, próżność i niewiadomość.

Tricotrin słuchał i położył lekko rękę na jéj ramieniu.

— Idź do matki Róży, Vivo, ja tymczasem pomówię z twoim przyjacielem o tych wszystkich pięknych rzeczach, które nam obiecuje,—idź moje dziecko, nie stracisz nic na posłuszeństwie.

Viva obejrzała się z namysłem.

— On taki dobry, dodała tylko, a jabym tak chciała iść z nim, jeśli to można.

Odeszła.

Tricotrin stał w miejscu, dopóki nie zniknęła mu z oczów. Chłopiec nie ruszał się także, zbyt dumny by ustąpić przed nim, ale blady z wściekłości i gniewu na tę niewczesną przerwę, zdumiony tym człowiekiem co stanął pomiędzy nim a jego żądzą. Słyszał o nim jak o włóczęgze, i spoglądał z rodzajem trwogi na jego męzką piękność, śmiałe obejście i panowanie nad sobą.

Oczy Tricotrin'a rzucały błękitne błyskawice.

— Tak więc, wyrzekł, Lordzie Chanrallon, takiemi łotrowskiemi czynami zajmujesz twój czas na wsi.

Młody człowiek wzdrygnął się, usłyszawszy nazwisko które starannie ukrywał przed Vivą,—ale odparł niedbale:

— Skoro wiesz kto jestem, wiesz także jaki szacunek mi się należy, nie mam z tobą nic do czynienia.

— O tém nie wątpię, mój młody panie, ale ja się o to nie pytam. Czy wiesz, że ja mógłbym zabić cię bezkarnie w tém miejscu, tak jakbym złamał tę gałęź—i na Boga, mam ochotę to uczynić.

Postać jego górowała wysoko nad wątłą kibicią młodego człowieka, który cofnął się przerażony, zbladły jak mdlejąca kobieta, bo pomyślał iż ten włóczęga republikanin, gotów był groźbę wykonać.

Tricotrin zrozumiał to i zaśmiał się gorzko.

— Wstydź się dziecko, szepnął, człowiek nie zabija takiéj jak ty istoty, chociaż to niebezpiecznie oszczędzać żmiję dla tego że jest tak małą.

Chanrellon probuje rzucić potwarz na Vivę, ale ręka Tricotrin'a spoczęła ciężka jak żelazo na jego ramieniu.

— Jeszcze jedno podobne słowo, odparła rzucę cię w Loarę, choćbyś miał się w niéj utopić.

W dalszym ciągu téj rozmowy, wykazuje się cała nikczemność młodego człowieka i stosunek jego z ojcem. Lord Estmere nie mógł być rad z podobnego syna, życie jego domowe było nieszczęśliwe; żona zhańbiła się dla Greka trzymanego z miłosierdzia na dworze Estmerów, a syn jéj poszedł śladami matki; pomiędzy nim a ojcem stosunek jest chłodny prawie nienawistny.

Zwykły to skutek niedobranych małżeństw, następstwa ich zostają na zawsze, ciążąc jak przekleństwo na całych pokoleniach.

Załatwiwszy się z młodym uwodzicielem, Tricotrin powraca do wychowanki.

Czekała w progu domu, spoglądając na niego pełna niepokoju.

— Czy mogę z nim pójść, spytała z dziecinną niecierpliwością, czy ci się podobał, czy mówił ci te wszystkie śliczne rzeczy, które mi obiecywał.

Tricotrin przez chwilę odwrócił od niéj oczy.

— Więc pragniesz tak bardzo, zapytał z kolei pójść z tym nowym przyjacielem?

Viva westchnęła.

— O tak! zawołała, on chce mi pokazać Paryż illuminowany.

— Ah! szepnął, we wszystkiem wierna swojéj płci, zmiana, oto wszystko czego pragniesz. Więc chcesz z nim pójść aby zobaczyć Paryż? czy poszłabyś tak samo na pustynię?

Dziewczyna nie kochała wcale swego kusiciela, dla tego też otworzyła szeroko zadziwione oczy.

— Mój Boże nigdy, zawołała.

Tricotrin uśmiechnął się, te słowa usunęły jego najgorszą trwogę,—zrozumiał, że skusił ją Paryż nie zaś miłość.

— Słuchaj Viva, rzekł łagodnie, czy kochasz mnie dość by mi wierzyć i być zadowoloną, nie pytając o przyczynę.

— Tak! o tak, odparła.

— Czy będziesz pewną, że radość twoja jest moją radością, że bronię ci tego tylko, co może ci być szkodliwém?

Twarz dziewczyny zasępiła się.

— Tak wyrzekła ciszéj, jesteś tak dobrym dla mnie.

— A więc Vivo, ja pragnę byś nie mówiła więcéj z tym przyjacielem, iżbyś odłożyła przyjemność widzenia Paryża, do czasu w którym ja będę mógł ci towarzyszeć. Jeżeli mnie kochasz prawdziwie, zrozumiesz, że skoro ja tego chcę, musi to być słuszne i sprawiedliwe. Czy mogę ci tak dalece zaufać? wiem, że żądam wiele, że niweczę twoje nadzieje, jednak sądzę, że mi tego nie odmówisz.

Była nieskończona słodycz, ale i cień niepokoju w jego oczach, ta istota winną mu była wszystko, bez wyjątku, nawet życie które jéj ocalił, jednak on był nadto szlachetny, by o tém wspominać i tym sposobem przysądzać sobie prawo do jéj wdzięczności i posłuszeństwa. Czekał na dar jéj ufności, jak gdyby to on był jéj dłużnikiem.

(d. c. n.)

To i owo.

Gorąco straszliwie! co tu robić w téj Warszawie? Człowiek się już w Swięty Jan dość napocił—no, welnę przynajmniéj sprzedał—komorne popodwyższał—ale wierzyciele się naprzykrzają. Jużby i od nich jakoś uciec i pieniędzy użyć.

Jak na to, są jeszcze teatra ogródkowe jest i opera włoska, z tą swoją prześliczną primadonną—ale tam wszędzie, zaledwieś usiadł, kogoś to masz obok siebie lub po za sobą? To krawiec twój, to fryzjer, to fabrykant amerykanek—ludzie wszystko niegrzeczni, źle wychowani—przymówki ci jakieś robią, dopominają się obcesowo, komornikami, kozą wygrażają. Do tego i Salamoński już wyjechał z tą boską swoją Salamońsią—łzy miał słyszę w oczach—zaręczył publicznie: że nas na wieki w sercu chować będzie. Cóż to za obszerne serce! podobne do zajezdnej karczmy na gościńcu. Konie tam pomieścisz razem z ludźmi—i to jakiemi ludźmi! Młodzieżą przyszłości, śmietanką dobrze urodzonego społeczeństwa—ba nawet z tłumem wielu pań pięknych, nadzwyczajnych entuzyastek Don Secunda. Ten kochany Salamoński! on to wszystko ocenił—cenę ku błogiej pamiątce z sobą zabrał—zostawił tylko resztki siana niedojedzone—ale nam by więcej podobno oset smakował....

Więc jednem słowem, nie ma co dłużej siedzieć w Warszawie.

Rozjeżdżamy się tedy—porozjeżdżaliśmy się—nie ma nas. Gdzież jesteśmy? Wszędzie gdzie nas nie posiano—w Niemczech, we Francji, w Belgii. Osobliwie w Niemczech—dziś Niemcy w modzie—tacy bogaci—cztery miliardy mają—wprawdzie jeszcze nie całe, ale reszta na dobrej umieszczona hipotece i na niezgorszym wcale procencie.

Jest przysłowie francuzkie, które powiada, że się najchętniej pożycza bogatemu. Co do nas,—niech tam pożyczają drudzy—my po prostu dajemy wspaniale - czyż nas niestać na to?

Dawnemi czasy, kiedy to Francja jeszcze owe miliardy miała, do Biaretz się jeździło. Cesarz Napoleon tam bywał—mnóstwo także pań zachwycających; słowem najlepszy ton pod słońcem. Z tych kąpieli cudownych, wracało się odmłodzonym. Tak było—nie ma co zaprzeczać. Sam widziałem pewnego jegomości, człowieka nawet poważnego i mającego swoje zasługi, a w każdym razie szósty krzyżyk na grzbiecie, jak wrócił ztamtąd z pociemniałemi włosyma, wąsem wylepionym w sterczące druciki, i tak wyślizganym żargonikiem, że aż litość—chciałem powiedzieć—że aż zazdrość brała.

Dziś z Niemiec możebyśmy sprobowali przywieść sobie dojrzałość, to jest oszczędność, ład, pamięć o jutrze. Bardzo by nawet warto, bo tam na miejscu za naukę diable drogo się płaci. Sam np. pobyt w Karlsbadzie kosztował w tym roku *pięć* rubli srebrem dziennie, to jest właściwie mieszkanie tylko w jednym szczupłym pokoiku, nie licząc kąpieli, usługi, prania, życia i tym podobnych przypadłości, bez których się obyć trudno.

Więc nie może tu być mowy o odmłodnieniu, tem bardziej że tam, z powodu właśnie cen owych, żaden dwór niemiecki uzdrowienia nie szuka: a cóż dopiero zabawy?

Na upartego, w Homburgu, w Wiesbadenie, rozerwać by się można—ale jak nie będzie wrócić za co? a na miejscu zostać niepodobna. Bo na cóż byśmy się tam komu przydać mogli? Tam ludzie pieniądze zwykli robić—my zaś je tylko wydawać umiemy.

Tymczasem zaś, my, których i na tę kanikułę nie stać, co też w wyludnionej porabiamy Warszawie? Oto gwoździki nosimy w dziurce od guzika—czasami różyczkę w zębach—już to szyk taki—a także parasolkę od słońca—czyż to tylko kobiety mają miewać płeć piękną? Równouprawnienie niechże nie będzie czczem słowem. Wy moje panie, professorami, doktorami, urzędnikami być chcecie—my podobnież nie myślimy pozostać za wami w tyle. Znam nie jednego, który już także cudze włosy na głowie nosi, lub swoje własne cudzą barwą zdobi—brwi sobie czerni—rumieńce bardzo kunsztowne miewa. Poczekawszy nieco, wnalki poczniemy nosić obcisłe—rzecz to przedziwnie wygodna—im kto z nas brzydszy, tem mu to mocniéj będzie do twarzy.

Ale osobliwie wachlarze. W takie gorąco....dziwię się nawet, żeśmy tego dotąd nie zaprowadzili. W Japonii rzecz to już od dawna upowszechniona—widzieliśmy to przecie w teatrze Rappo, na jakiś czas przed grubą Florą. Każdy tam Japończyk, czy na linie tańczył, czy stał na głowie, czy nogami dokazywał na grzbiecie leżąc, wachlarz miał w dłoni i tym wachlarzem znojną chłodził dolę. Pamiętam: że mi to już wtedy w głowę zajechało. Z wachlarza mnóstwo bywa użytków. Możesz nim nieznacznie powiedzieć komuś żeby przyszedł, lub sobie poszedł, wskazać kierunek Szwajcarskiéj Doliny, tej lub owéj ale i możesz z po za niego spojrzeć ukradkiem a znacząco, możesz zręcznie zasłonić nim rumieniec wstydu na przedstawieniu Życia Paryzkiego, lub ziewanie jeśliś na prelekcyi lub dramacie.

Ale znowu, jeżeli już i kwiaty, i parasolki, i przyprawne włosy, brwi, rumieńce i wreszcie wachlarze z paniami podzielimy, to chyba porównanie społeczne będzie już zupełnem.

No, a ogony?

O! tu dopiero moje panie, niezaprzeczona wyższość wasza nad nami. W tem jednem, to już wam nie damy rady.

Bo proszę tylko—ogon przy tużurku, lub choćby fraku, ogon robiący na ulicy porządek, o! nie, za nic w świecie! co nam po tem? myśmy i bez tego ludzie porządni. Z téj przyczyny, nikt nam też marnego słowa do powiedzenia nie ma. Wprawdzie i my nieraz ludziom pod nos kurzymy, ale to papierosami, jak wiadomo, bardzo dobremi, po trzy kopiejki sztuka. Jak zaś wychodzą na tem tacy, którzy kurzawę ową z matki ziemi zbierają, zaświadczyć może następne zdarzenie.

Szła jakaś dama bardzo przyzwoita, dama ubrana właśnie jak się należy, to jest z przodu krótko, żeby uwidocznić bucik zgrabny, czy tam może nóżkę, z tyłu zaś powłóczyście, obficie, wspaniale. Skutkiem tego, obłok pyłu wiodła za sobą, obłok potężny, okazały, koniecznie zwracający uwagę, brzemienny wrażeniami spotkania, wgryzający się przemocą w oczy w nos i w płuca. Przechodząc, wyminęła jakiegoś jegomości. Człek to był nie dzisiejszy, wolno sobie kroczący, siwy, wąsaty, z czerwoną wstążeczką (nie zaś z gwoździkiem) w dziurce od guzika; widocznie dawny wojskowy. Kiedy go obłok ów ogarnął, jegomość ten zakrztusił się, kichnął, poczem splunąwszy, mruknął pomiędzy zębami:—flądra!

Słowo daję, powiedział to—sam słyszałem.

Nie wiedząc znaczenia tego wyrazu, pobiegłem czemprędzéj do domu, i tam, dalejże szukać w jednéj z mających dopiero wyjść Encyklopedji (zaręczano mi że będzie lepsza od wszystkich po dziś dzień wydanych) i oto co tam znalazłem.

Flądra (po łac. brudassia flejtuchovia) rodzaj ryby.

Ale otoż sęk. Cóż być może za związek pomiędzy marną rybą, a wspaniałą damą?

No, wprawdzie przyznać należy, że ten—że czasami ukochaną kobietę zdrobniale rybką nazywamy: Ot nie daléj jak mój sąsiad szewc Gerwazy. Ile razy się żona na niego warząchwią zamierza, to uważałem że on zaraz pośpiesznie powiada:

— Moja rybko! moja rybko! moja rybko!

Ale znowu gdzie tu takiéj przyzwoitéj damie do warząchwi? Ona pewnie nawet nigdy w kuchni nie

bywa. Do tego, nie zdaje mi się, żeby ów jegomość stary uczucie miłości w sercu dla niéj żywił.

Tak żadną miarą wyjść na światło nie mogąc, już gotów byłem Encyklopedję moją na równi z innemi za nic wartą uznać, kiedy mi na myśl przyszło sprobować jeszcze metody indukcyjnéj. Co to takiego poburzyło gniew starego jegomości? Kurzawa? Co tę kurzawę spowodowało? Ogon pięknéj pani.

A! a więc jestem wreszcie w domu! Ogon ma równie ryba jak i modna dama. Tylko że tamten, wdzięcznego kształtu, schludnie utrzymywany, i drugich nie zanieczyszcza i sam zawsze czysty, ale nadewszystko—niezbędnie jest potrzebny.

Tedy o stary dobrodzieju! jakże to można było tak ubliżyć rybie? Boć ten przecie ogon, który się tam oto wlecze....

— A! mój panie! dajże nam już święty pokój! Ogon jest, musi być i będzie, żebyście tam nie wiem co gadali, pisali, przemyślali, wydziwiali, wytykali, przyczepiali, przymawiali, przy... tego e! jak mamę kocham ...

Tam do licha! słysząc to, przypomniałem sobie warząchew i czemprędzéj umilkłem.

Przyszło mi także na myśl głębokie słowo Bajrona, włożone w usta Sardanapalowi. Władca ten już jest bliski ostatecznéj toni. Nieprzyjaciel wali zewsząd w mury Niniwy—ale Eufrat dzielnie broni przystępu—w nim jednym jeszcze nadzieja odsieczy. Nagle wieść się rozchodzi, że Eufrat wzbiera—padają pod myte nurtami jego wieże obronne, wściekły żywioł w miasto się wdziera. W chwili téj Myrrha zrozpaczona wbiega do komnat królewskiego swego kochanka.

— Panie mój—powiada—tak więc nawet wały Eufratu przeciwko tobie powstają.

A Sardanapal jéj na to:

— Cóż robić. Przebaczyć im muszę.... gdyż ich ukarać nie mogę.

W ogrodzie Saskim się to działo. Chcąc jakoś animuszu nabrać, myślę sobie: możeby oto do teatru pójść. Cóż to tam takiego dzisiaj? Deborah—dramat. A! dramat, rzecz nudna, ale jak nie ma nic lepszego.... Słyszałem nieraz, że z amfiteatru bardzo dobrze widać,—wprost j sceny, zupełnie jak w krzesłach a nierównie taniéj. Biorę tedy bilet i zasiadam, a trzeba wiedzieć że rząd pierwszy był już całkiem zajęty. Patrzę ku scenie—co u licha? Tamci zapewne widzą wszystko wybornie—ale ci co im siedzą za plecyma, no jużciż także tam coś widzą, ale zwłaszcza kapeluszy rozlicznych zbiór wcale imponujący. I co za rozmaitość! Są i słomiane i pilśniowe i jedwabne, wysokie i niskie, szerokie i wązkie; a wszystko w ruchu, w grze nieustającéj—tak że nieraz łudzisz się, żeś już upatrzył jaką przerwę—a tu nic z tego—znowuś jest za parawanem.

Co prawda, to i w krzesłach nie bardzo bywa gorzéj...

Jedno z dwojga: alboby może o wiele podwyższyć stopniowanie pochyłości z siedzeniami, albo po prostu sprobować parę godzin z gołą głową pomiędzy damami posiedzieć. Boć przecie koniec końcem nie jest to w cyrku, gdzie z bicza trzaskają i gdzie stajnią pachnie. Bywałem ci ja trochę po świecie. We Francji, w Niemczech, zwyczajem jest nakrywać sobie głowę pomiędzy aktami. Robi się to dla wygody; żeby jak najmniéj mieć do trzymania w ręku, wpośród ruchu, który się wtedy obudza, przy wychodzeniu, przeciskaniu się, wymijaniu. Ale z rozpoczęciem widowiska, sala zaczyna być znowu sal..., i nie wolno ci już ukrywać łysiny; inaczéj powiedzą ci po prostu: za drzwi! Tak bywa nawet w Paryżu—na własne oczy to widziałem.

U nas siedzi się w kapeluszu, z powodu przeciągów, powiadają. Probowałem ja i przeciągu, a niemniéj, mimo nakrytéj głowy, zawiało mię w karku.

Nareszcie, jeśli w Letnim teatrze kapelusz ma być koniecznością, to ponieważ tak wieleśmy już od naszych pań przejęli, weźmy jeszcze od nich i to, czem one sobie od słońca, deszczu i wiatrów, nader skutecznie zabezpieczają głowę; nakrycia te, prócz innych wielu, mają dwa ważne przymioty: są coraz mniejsze i coraz droższe.

Zniechęcony do Letniego teatru, poszedłem nazajutrz do czarodziejskiéj Alhambry. Grano tam Noc i Poranek. Szczęśliwie dosyć noc przebyłem, ale wyznaję nie miałem odwagi doczekać poranku, trzeci akt bowiem owéj sztuki (a jest ich pięć) skończył się o saméj dwunastéj. Siedziano i tam w kapeluszach—no, pod gołem niebem, przy kuflu, z cygarem w zębach....

PRZEGLĄD

LITERATURY POLSKIEJ.

Wykład Bajek Krasickiego wraz z tekstem tychże przez G. Ehrenberga. Do tego dołączony przedruk łacińskiego przekładu bajek i przypowieści przez Markwarta. Nakładem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego z fundacji księcia J. R. Lubomirskiego. Kraków w Drukarni Uniwersytetu Jagielońskiego 1871. (w 8ce str. 276.)

Stanowisko Krasickiego w literaturze naszéj jest szczególnie wybitne. Wpośród licznego zastępu pisarzy, którzy stworzyli nowy okres tak zwanéj *epoki Stanisława Augusta*, on góruje po nad wszystkimi, był nauczycielem wielu pokoleń naszych.

Jakoż, głównym pokarmem duchowym dla młodych umysłów, od drugiéj połowy niemal XVIII stulecia, do pierwszéj ćwierci naszego wieku, poemata żartobliwe Krasickiego, satyry, listy a szczególniéj też bajki, były wykładane po szkołach.

Bajki, umieli wszyscy na pamięć co szkoły przechodzili, a wiele z nich zdań i myśli, przeszło w przysłowia narodowe, tak przystały do głowy i serca każdego. Te zdania i myśli, powtarzali i ci, co nieznali nawet ich autora.

Zaden z pisarzy nie wpłynął tak przeważnie na rozszerzenie oświaty w całym kraju, jak Krasicki, i żaden więcéj nad niego nie przyłożył się tyle do uszlachetnienia ogółu społeczności naszéj. Z téj strony, Krasicki dotąd nie był należycie oceniony, ani zasługi jego w tym kierunku wykazane. Życiorysu nawet dokładnego tak wielkiego pisarza nie mamy, bo gdy zmarł, podług zwyczaju, w swych ciasnych formach, przyjaciel Krasickiego, Franciszek Dmochowski tłumacz *Iliady*, wypowiedział *pochwałę*, która skreślona wedle wzorów francuzkich była raczéj popisem wymowy Dmochowskiego, a nie obrazem życia poety.

Mnóstwo drogocennych szczegółów, najwyborniéj malujących charakter pisarza, z których byśmy jasno sobie kierunek jego wytłumaczyć mogli, zaginęło bez śladu. Wprawdzie w pół wieku późniéj, zebrał jakie można było zgromadzić, pracowicie Juljan Bartoszewicz, i najdokładniejszy dał nam życiorys Krasickiego,—pomimo to, wiele tam szczerbów widocznych pozostało, których niczem zapełnić nie zdołamy.

W roku 1775 wystąpił Krasicki z poematem swoim *Myszeis*, ogłaszając go drukiem. Allegoryczny ten utwór, który zachwycał współczesnych, bo umieli jego myśl odgadywać i zastosowywać, dziś dla nas traci na swem znaczeniu, bo brak nam objaśnień odpowiednich. Pierwszy raz *bajki* wyszły w roku 1779. Było ich sto osiem z allegoryczną przedmową *Do Dzieci*. W pośmiertnem wydaniu wszystkich dzieł Krasickiego, które ogłosił 1804 roku Fr. Dmochowski w dziesięciu tomach, ukazały się we 25 lat późniéj *Bajki nowe*, w liczbie około 80, różniące się o wiele tak formą, jak myślą i układem od pierwotnych. Krasicki lubił w téj szacie, pomysły swoje wypowiadać—to też gdy w chwilach swobodniejszych grał w ulubionego *Lombra*, zawsze w pobliżu stał stoliczek z przyborami do pisania, a gdy mu myśl jaka przyszła, zaraz albo ją notował lub całą kreślił bajkę.

Wszystkie utwory tego rodzaju, od razu dobiły się popularnosci w całym kraju, a chociaż pisali bajki Naruszewicz i Kniaźnin, tylko Krasickiego uczyli się wszyscy, zarówno przy domowym ognisku, jak i na ławach szkolnych.

Niewątpliwą jest rzeczą, że wiele bajek osnował z ówczesznych wypadków krajowych: do nich nawet stosował, ale już teraz straciliśmy ślady tego. Dość tu przypomnieć ową bajkę czt ero-wierszową:

„Czego płaczesz staremu mówił czyżyk młody".

Wieloliczne były ich wydania: najstaranniejsze jest w dziełach Krasickiego 1804 drukowanych.

Znany z głębokiéj nauki, jak i talentu *Gustaw Ehrenberg*, umiejący oceniać należycie wartość tych bajek, poświęcił wiele lat pracy ich studyjowaniu i w dziele o którem mówimy, złożył jéj owoce. W obszernéj przemowie na czele umieszczonéj, zdaje sprawę, z jakiego stanowiska zapatrywał się na te utwory: wykazuje różnice uderzające, pomiędzy bajkami pierwotnemi, a następnie p. n. *„Nowe bajki"* wydanemi.

Zwraca uwagę, że oddawna badało wielu wewnętrzne ich znaczenie, i wyszukiwało źródła w położeniu owoczesnem społeczności naszéj. Nowy ich wydawca, jak sam wyraża: „ograniczył się raczéj do nielicznych i potocznych uwag, często do objaśniającéj tylko paryfrazy, poprzestając na daniu dostateczněj wskazówki, w jaki sposób, według jego mniemania, bajki Krasickiego rozumianemi i tłumaczonemi być mogą, a pozostawiając dalsze bardziej szczegółowe zastosowania, namysłowi samego czytelnika".

Jak spełnił to swoje zadanie G. Ehrenberg, zrozumiemy najlepiéj, przytaczając dwie pierwsze bajki: *Do dzieci*, i *Wstęp do bajek*, wraz z objaśnieniem, jakie dał do nich.

I.

Do Dzieci.

O wy! co wszystkie porzuciwszy względy,
Za cackiem bieżeć gotowi w zapędy,
Za cackiem, które zbyt wysoko leci,
Bajki wam niosę, posłuchajcie dzieci.
Wy, których tylko niestatek żywiołem,
Co się o fraszki uganiacie społem,
O fraszki, które zysk maże i szpeci,
Bajki wam niosę, posłuchajcie dzieci.
Wy! którzy marne przybrawszy postaci,
Baśniami łudzić umiecie współbraci,
Baśniami, które umysł płochy kleci,
Bajki wam niosę, posłuchajcie dzieci!

„Nietyle do dzieci odzywa się Krasicki, ile raczéj do ludzi dojrzałych, których dziećmi nazywa, dając przez to poznać, że wady umysłu i serca, z których powstają niedorzeczne sądy, naganne żądze i występne czyny, źródło swoje mają przedewszystkiem w braku ukształcenia, tak umysłowego jak moralnego. Jest to pogląd prawdziwie cywilizacyjny, zgo-

dny z tem pojęciem, że dzieje powszechne są obrazem wychowawczych usiłowań rodu ludzkiego. Młoda jest jeszcze myśląca ludzkość. Dwie ma mistrzynie: mądrość przedwieczną i doświadczenie. Często ich nie słuchą, dopuszcza się wybryków, gubi się w drogach, ale nadzieja polepszenia niestracona, dopóki ludzie wierzą, myślą i pracują. Nie szyderstwa, ale raczéj politowania są godne ułomności ludzkie; jeżeli więc godzi się wyśmiewać, oburzać, karcić, to nie w innym celu, tylko żeby obudzić śpiące sumienie, wykształcić rozsądek, lub nauczyć ludzi roztropności, a tem samem wpłynąć na ich poprawę.

„Nieroztropnemi dziećmi jesteście, mówi do ludzi: przeceniacie wartość przedmiotów, o posiadanie których ubiegacie się, bo prócz mądrości i cnoty, wszystko jest zmienne: majątek, sława, znaczenie, są to cacka ulegające stłuczeniu, niewarte tego żeby dla ich pozyskania poświęcać względy ważniejsze, jako to: uczciwość, obowiązki najbliższe, spokój duszy. W każdym razie nie inaczéj się za podobnemi cackami ubiegajcie, jak z wymiarem stosownym sił i środków, żeby cel nie stał się dla was niedosięgłym, jak cacko które zbyt wysoko leci.

„Gorzej jeszcze, bo jak znarowione dzieci postępują ci, którzy niespokojnemi powodowani żądzami, uganiają się pojedyńczo lub gromadnie nie już za cackami mniéj więcéj dozwolonemi, ale za szkoliwemi fraszkami, których pozyskanie szpeci duszę i maże zapisane w sercu hasło sprawiedliwości. Słuszną i pożyteczną jest rzeczą, żeby takim niestatecznym dzieciom odjętą została możność szkodzenia. Zresztą, bezprawie samo w sobie nosi zaród zniszczenia, i najczęściéj sprowadza skutki, które mają cechę zasłużonéj kary.

„Nareszcie, do tych ludzi odzywa się Krasicki (takich jest najwięcéj) którzy przez nierozsądek i płochość nie starają się o nabycie trzeźwego, jasnego i przenikliwego poglądu na stosunki swoje i obowiązki, a przez to sami się łudzą lub co gorsza drugich złudzić usiłują.

Umysł niewykształcony uprawą praktycznego rozsądku, jest właśnie gruntem, z którego najbujniéj jak chwasty, wyrastają postępki niesprawiedliwe i nieroztropne. Przedewszystkiem więc należy skierować uwagę na poznanie świata, jakim jest rzeczywiście, z nieuniknionem wśród niego *złem*, na które nie ma innéj rady, jak cierpliwość, z niedorzecznemi jego sądami o nierówną miarą. Oprócz tego, rozpatrzeć się trzeba w odgrywanéj na scenie świata wielkiéj komedji *Pozorów*, żeby poznać, co się kryje pod maską marnéj postaci i nie brać za rzeczywistość, baśni będących płodem płytkiego lub przewrotnego umysłu.

Oto jest, ile rozumiem, program naszego narodowego moralisty, wypowiedziany przez niego treściwie i wdzięcznie".

II.

Wstęp do Bajek.

Był młody którzy życie wstrzemięźliwie pędził,
Był stary który nigdy nie łajał, nie zrzędził,
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał,
Był autor, co się z cudzéj sławy rozweselał:
Był celnik który nie kradł, szewc który nie pijał.
Żołnierz co się nie chwalił, łotr co nie rozbijał,
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał,
Był nakoniec poeta co nigdy nie zmyślał.
A cóż to jest za bajka? Wszystko to być może,
Prawda! jednakże ja to między bajki włożę!

„Wszystko to być może! Czy wszystko? Możeż to być, żeby łotr nie rozbijał? Trzeba przypuścić, że i to być może. Jeżeliby przestał rozbijać przestałby być łotrem. Możeż młody przestać być młodym, a stary starym? Nie zupełnie; ale młody, może być wstrzemięźliwym, stary wyrozumiałym wtedy, nie mając już udziału w zwykłych wadach młodości i starości, są młodymi lub starymi tylko co do ciała, duszę mają ani młodą ani starą, tylko rozwiniętą i nie więdnącą, podobnież bogacz dobroczynny, będzie ubogim w duchu. Ale jakimże sposobem, autor, celnik, szewc, żołnierz, minister, nie wychodząc ze swego stanu, ochronią się od wad które tak się zrosly z ich powołaniem, że zdają się stanowić nieodłączną cechę ich stanu? Tym sposobem, że powołanie szczególne będzie dla nich nie skórą, z któréj się wyzuć nie można, ale tylko suknią zastosowaną do usług jakie pełnić mają, dającą się wkładać i zdejmować, i nie w każdéj porze dnia używaną. Być człowiekiem moralnym jest najpierwszem, a raczéj jedynie ważnem powołaniem człowieka. Przez zbyteczne zaczepienie się w jednéj wyłącznéj sferze myśli, uczuć i interesów, człowiek lub korporacja odłącza się od reszty ludzkości, wyradza się, tworzy jakby oddzielny gatunek istot, czerpiąc pobudki do działania, nie z ogólnéj skarbnicy; ztąd wyradzają się przeważne pokusy do stanów pewnych przywiązane, które się wreszcie zamieniają w prawidła i dają początek nagannym naukom o dwojakiéj moralności. Tém mocniéj się to wyradza, im bardziéj instytucje lub obyczaje sprzyjają odosobnieniu stanów. Literatura, urzędowanie, rzemiosło, wojskowość lub życie publiczne, same przez się, nie ścierają z czoła znamion godności ludzkiéj, ale narażać może na to niebezpieczeństwo, posługiwanie się piśmiennictwem jako professją zyskowną, lub próżności dogadzającą, bezkarność urzędników, korporacyjna wyłączność rzemiosł, rząd szabli, nieodpowiedzialność władzy. Może więc być w pewnych warunkach i autor niezazdrosnym, celnik uczciwym, żołnierz skromnym, minister patryjotą. Możeż się i poeta wyrzec zmyśleń!? Nie *zmyślenie*, ale *wymysł*, należy do warunków twórczości poetyckiéj. Niższego to rzędu poeta, co zmyśleniami wyobraźni tylko dogadza. Dobra poezja podnosi duszę i wyższe prawdy jéj odsłania.

„Cóż to jest za bajka, jeżeli wszystko to być może? Zapewne, nie będzie to bajką, w znaczeniu jakie często do tego wyrazu przywiązujemy, mianując prawdą wymysł sprzeczny z prawdą, niewiarogodny lub niemożliwy. Ale może być bajką, w znaczeniu przypowieści obyczajowéj odsłaniającéj wpływ nawyknień, przykładów i profesyjonalnych pokus na wady ludzkie. Silny to musi być wpływ, kiedy samo wyliczenie stanów i zatrudnień z pochwalnemi przydatkami, uderza wyobraźnię, jakby coś niezwykłego, zdarzającego się raczéj wyjątkowo niż powszechnie. Taka jest pierwsza scena komedyi życia."

Poprzestajemy na tych dwóch wyjątkach; czytelnik wartość objaśnień bajek Krasickiego sam, ocenić potrafi.

G. Ehrenberg, biorąc z własnych słów jego podstawę do uporządkowania bajek i przypowieści, stosownie je ułożył. Widział w nich bowiem odwołanie się do zasad roztropności, sprawiedliwości i rozsądku, w taki sposób przedstawione, iż rozsądek służyć ma za podstawę ukształconéj praktyki życia, któréj uwieńczeniem jest roztropność.

W dwóch przeto pierwszych księgach, pisze wydawca, przemagać będą nauki do wykształcenia zdrowego sądu służące: a mianowicie, w pierwszéj pogląd na świat i ludzi, w drugiéj komedja *Pozorów*. Trzecia księga odnosi się głównie do występków i wad, a czwarta mieści w sobie roztropne rady".

W takim układzie mamy cztery księgi bajek Krasickiego podane—przypisy każdą wątpliwość objaśniają: daléj zdania i przysłowia wyjęte z tychże bajek, w końcu łaciński przekład ich przez *Markwarta*. Jakkolwiek praca ta udatna i staranna, i niewiele w niéj „uronił z rysów charakterystycznych" nie możemy zgodzić się na przedruk bezużyteczny, który tylko powiększył objętość książki, i cenę jéj podniósł. Tłómaczenie *Markwarta*, jest zapewne ciekawym zabytkiem bibliograficznym—ale nie może być ani zajmującem ani pouczającem dla nas, mając tak wyborny sam oryginał. Wydanie staranne i ozdobne. Wdzięczni jesteśmy za tę pracę sumienną i prawdziwéj wartości naukowéj, wdzięczni za przypomnienie i wielkiego poety z przeszłego stulecia, i bajek jego, które były zdrowym pokarmem duchowym kilku młodych pokoleń, przez pół wieku z górą.

W. T.

INSTYTUT
GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH
w Warszawie.

Ze wszystkich zakładów dobroczynnych, jakiejbądź nazwy i doniosłości, najwięcéj zasługuje na miano filantropijnego, Instytut dla głuchoniemych i ociemniałych.

Wszelkie przytułki, ochrony, szpitale są koniecznym wynikiem potrzeb wadliwie uorganizowanéj społeczności, gdy zajęcie się wychowaniem i nauką głuchoniemych i ociemniałych, ma jedynie źródło w gorącéj miłości bliźniego. Trzeba istotnie kochać ludzi, aby się poświęcić tym, których los skazał na straszne życie bez głosu i światła. Nie idzie tu tylko o zapewnienie środków utrzymania życia tych biedaków, bo wieluż nich ma zamożnych rodziców, ale o wyrwanie ich z wiecznéj ciszy i nocy, które redukują ich życie do życia zwierząt lub roślin.

Ludzkość w postępie swoim dojdzie może kiedyś do tego, iż znikną wydziedziczeni i usunięci od stołu życia, ale trudno przypuścić, aby wiedza ludzka zapobiedz zdołała wszelkim zboczeniom natury: głuchych i ślepych od urodzenia lub z przypadku nigdy nie zabraknie; bo nawet co do pierwszych, nie można tu zastosować nielitościwego napozór prawa starożytnych Spartan, który skazywali na zagładę słabe i ułomne dzieci, gdyż dotknięte powyższemi kalectwami, dopiero późniéj, gdy wzrosną, wydają się z niemi.

Dla ulżenia życia tym nieszczęśliwym istotom, prawdziwi przyjaciele ludzkości trudzili się niemało, usiłując rozwinąć ich władze umysłowe, a tem samem uczynić je pożytecznemi sobie i społeczeństwu. Usiłowania te przecież, jako oderwane i doraźne niewielki wydawały rezultat i nie utworzyły metody, jaką postępować drogą, mianowicie z głuchemi; dopiero w zeszłym stuleciu, godzien niewygasłéj wdzięczności, ksiądz de l'Epée, poświęciwszy całe życie swoje i wszystkie swoje dochody, stał się pierwszym założycielem i nauczycielem szkoły dla głuchoniemych nie tylko we Francji, swojéj ojczyznie, ale w całéj Europie, gdyż za jego przykładem i według jego metody pozakładano instytuta dla głuchoniemych w głównych miastach europejskich.

Od tego czasu systematycznie zajęto się nauczaniem głuchoniemych, zrobiono wielkie postępy w udoskonaleniu pierwotnéj (migowéj) metody księdza de l'Epée, a nawet zmieniono ją na inną (głosową), albo raczej pierwszą uzupełniono drugą.

Założycielem warszawskiego instytutu głuchonie-

mych, a następnie i ociemniałych, był prawdziwy filantrop, ksiądz Jakób Falkowski, pijar, rektor szkoły wydziałowej Szczuczyńskiej, który na wezwanie ówczesnéj Komisyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zostającéj pod prezydencją ministra Stan. Potockiego, zwiedziwszy głośniejsze zakłady dla głuchoniemych w Niemczech, a mianowicie w Wiedniu, był w możności roku 1817 dnia 23 Października otworzyć w Warszawie (początkowo w Szczuczynie) instytut dla głuchoniemych w bardzo skromnych rozmiarach, ale w szczegółach swoich umiejętnie zastosowany do potrzeb miejscowych.

Jak się przyjęło i jak wzrosło dzieło zacnego księdza, najlepiéj nas przekonywa wydany pod przewodnictwem teraźniejszego dyrektora instytutu R. R. St. J. Papłońskiego, *Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i ociemniałych z roku szkolnego 187¹/₂* (rok trzeci), gdzie najdokładniéj mamy wykazany obecny stan instytutu, jego przeszłość, poczynione ulepszenia, oraz fundusze, jakiemi rozporządzał lub rozporządza.

Instytut Warszawski, dzięki intelligentnéj i gorliwéj działalności swojego dyrektora, stanął w rzędzie pierwszych tego rodzaju zakładów w Europie. Z pamiętnika dowiadujemy się, że 156 głuchoniemych i 37 ociemniałych, tak chłopców jak i dziewcząt, kształci się w instytucie, bądź na własnym koszcie, bądź stypendyalnym. Wychowańcy warszawskiego instytutu są albo stałymi pensyonarzami, albo też przychodniemi. Tu oprócz czytania, wymawiania, pisania i poznawania mowy z ust, oprócz nauki ojczystego języka, arytmetyki, geografii, historyi powszechnéj i krajowéj, ogólnych i najpotrzebniejszych wiadomości z nauk przyrodzonych, wiadomości z hygieny i t. d. głuchoniemi zajmowali się przeważnie rysunkiem i drzeworytnictwem, a ociemniali muzyką, zaś jedni i drudzy uczyli się odpowiednich każdego zdolnościom rzemiosł, jak: stolarstwa, introligatorstwa, tokarstwa, ślusarstwa, krawiectwa, szewctwa i robót właściwych samym kobietom. Tym sposobem wychowańcy kształcą nie tylko umysł i serce, ale wyuczywszy się porządnie jakiéj sztuki lub rzemiosła, mają sobie zapewniony sposób do życia i nie potrzebują być ciężarem sobie i społeczeństwu.

Przy tak rozległym programie nic więc dziwnego, że blizko pięćdziesiąt osób wchodzi do składu instytutu jako nauczyciele, korrepetytorzy, artyści i majstrowie różnych rzemiosł.

W *Pamiętniku* za rok bieżący, wydrukowanym bardzo starannie przez samych głuchoniemych i według ortografii dyrektora Papłońskiego, spotykamy trzy artykuły treści pedagogicznéj, a mianowicie: p. Gersona, *o znaczeniu rysunku i metodzie nauczania go u głuchoniemych;* p. Wł. Nowickiego, *o metodzie początkowego nauczania języka w szczególnym zastosowaniu do ociemniałych klasy I;* p. Z. Noskowskiego *Warszawska metoda pisania nut muzycznych dla ociemniałych.* Wszystkie te artykuły pisane przez specyalistów, mają rzeczywistą wartość naukową w danym zakresie. Niemałego jest także znaczenia sprawozdanie Dra Bartoszewicza, *o stanie zdrowia głuchoniemych i ociemniałych w Instytucie warszawskim,* gdyż z niego jasno się pokazuje, jak pod względem sanitarnym troskliwą miano pieczę nad wychowańcami. Przez ciąg lat siedmiu, to jest od 1865 do 1872 r. nie było tu żadnych chorób epidemicznych, a tylko pięć wypadków śmierci, dwa tyfusu, jeden z zapalenia mózgu i dwa z suchot. Ciekawe są cyfry wykazujące szczegółowo ilość wypadków, które spowodowały kalectwo tych nieszczęśliwych dzieci: na 147 tak chłopców, jak dziewcząt było głuchych z urodzenia 69, w skutek rozbicia się lub spadnięcia 24, po tyfusie 20, po zapaleniu mózgu 4, z przelęknienia 3, w skutek związków familijnych zachodzących pomiędzy rodzicami 3, w skutek pobicia 1 i t. p. Po dokonanéj rewizyi lekarskiéj znaleziono u jednych zupełne zniszczenie bębenka i kostek słuchowych, u drugich błonę bębenkową nadzwyczaj zgrubiałą, a u innych nakoniec organa słuchowe w zupełnym porządku (?). W oddziale ociemniałych, na cztery operacye, dokonane przez Dra Dobrzańskiego, trzy nader szczęśliwie wypadły, gdyż dwie panienki zupełnie wzrok odzyskały, a jedna poprawiła go sobie do tego stopnia, iż czytać mogła. *P.*

OBRAZY

NA WYSTAWIE

TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH.

(Dokończenie.)

Odaliska pana Szyndlera ma bardzo starannie zrobioną przejrzystą osłonę aż do pasa: twarz jéj posiada wiele wdzięku i życia, ale układ rąk podniesionych w górę, nawet niby uśmiech, robi ją wielce podobną do osoby przeciągającéj się, a myślącéj o wygodnem łożu i rozkosznym na niem wypoczynku.

Drugi obraz tego artysty: *Starzec* przedstawia typową postać niemieckiego oberżysty, umiejącego gości przyciągać zarówno tabaczką jak dobrodusznością. Obie prace są ładne i starannie wykonane, ale choć to niegrzecznie, Odaliskę jednak na drugiem umieściłbym miejscu.

Procesja w Carpi pana Zdzisława Suchodolskiego jest wielce ożywionym obrazem i wiernem, jak się zdaje, odwzorowaniem miejscowości. Odbywa się ona w murach jakiegoś klasztoru, a raczéj w dziedzińcu klasztornym, okolonym wysokim murem, po za którym piętrzą się wzgórza pobliskiéj okolicy. Z furty wysuwa się pod baldachimem kapłan celebrujący, a przed nim idą zakonnicy w większéj części z osłonioną twarzą, z pomiędzy których czterech dźwiga na drągach obraz Madony, podobny wielce do używanych u nas przy procesjonalnych obrzędach religijnych. Z kadzielnicy niesionej przez małego chłopczyka, snuje się wonny dym rozpływający się w powietrzu w ledwie dostrzegalnej mgle: drogę którą kapłan ma postępować zaścielają kwiaty, a na boku klęczy i stoi lud w pobożnéj postawie uczestniczący w nabożeństwie.

Jak powiedzieliśmy, w obrazie tym wiele jest życia, twarze, ubiór i koloryt wiernie z natury odwzorowane, ale okolica po za murem piętrząca się nie ma właściwego oddalenia, i niosący obraz Madony zdają cię przechodzić w poprzek przez orszak procesjonalny, co za wadę rysunku poczytać należy.

Obrazek pana Rurawskiego przedstawiający *krajobraz* z okolicy Warszawy, zaleca się bardzo dobrą perspektywą. Jest to pusta płaszczyzna; na głównym planie widzimy płachet wody stojącej, za nią pas równiny zielonej, cokolwiek za ostro odznaczony, a daléj snuje się okolica zapełniona różnym porostem leśnym, coraz bardziej ginącem w oddaleniu. Praca to z talentem wykonana,—wpatrując się w nią mimowoli smętne dumki przychodzą do myśli, jak to zwykle bywa patrząc w daleki widok horyzontem ograniczony.

O dwóch widokach jednym na część Wilna drugim na jego okolice i o krajobrazie Tatrzańskim pana Maszewskiego, nie wiele da się powiedzieć. Na początkującego artystę prace to wielce obiecujące, na starszego wiele pozostawiające do życzenia.

Różne wiadomości.

* *Kraj turkiestański. Mosk. Wied.* zaczerpują z dziennika „Ruskij Turkiestan" wiadomości o topografji i statystyce kraju. Przestrzeń kraju Turkiestańskiego, podług przybliżonego obrachunku obejmuje do 15,036 mil kw. jeograficznych. Ogólna cyfra ludności kraju jest około 1,400,000. Gęstość osiedlenia jest nader nieznaczna, nie więcéj jak 92 głów na milę kwadratową, to jest sześć razy mniej aniżeli wynosi gęstość zaludnienia Rosji europejskiej. Gęstsza ludność napotyka się tylko na dolinach urodzajnych. Z ogólnej liczby ludności przy padana część koczowniczą w przybliżeniu 1,085,000: na półkoczowniczą 375,000. Ogólna liczba rosjan w kraju turkiestańskim, wynosi w przybliżeniu wraz z wojskiem, od 55 do 60 tysięcy, bez wojsk do 30 tysięcy. O liczbie rosjan w obwodzie siemirieczeńskim są dokładne wiadomości. Za wyłączeniem wojsk, ludność ruska tego obwodu wynosi 20 tysięcy dusz; w tej liczbie 17,800 kozaków, 1,600 włościan i mieszczan i do 700 żołnierzy nieograniczenie urlopowanych, którzy się osiedlili. Ruska ludność obwodu siemirieczeńskiego wzrasta znacznie przez napływ nowych przesiedleńców; pragnącym zaledwo wydzająją wydzielać grunta, a co rok budowane są nowe osady. Przesiedleńcy składają się po większej części z małorusów gubernji woroneżskiej, oraz włościan z gubernij sybirskich. Cała ruska ludność obwodu Syr-Daryjskiego składa się prawie wyłącznie z wojsk, z służących wojskowo i z nieograniczenie urlopowanych. W Taszkiencie ruskim w ogóle mieszkańców, oprócz wojsk, liczono w roku zeszłym 2,073; z tej liczby właściwych rosjan 1,289, sartów 318, kirgizów 112, niemców 110, reszta cudzoziemcy lub europejczycy rozmaitych narodowości.

— Z Rostowa (w gub. jarosławskiéj) piszą do gazety *Sowremennyje Izwiestja*, że na posiedzeniu Rady miejskiéj 12 maja, przedstawioną została do roztrząśnienia kwestja o podwyższeniu programu wykładu nauk w szkole powiatowéj, tak, aby kończący w niéj kurs mogli wstępować wprost do 4 klasy gimnazjum. Kwestja przeszła pomyślnie. Wtedy jeden z członków rady miejskiéj, obywatel poczesny F. L. Kekin, objawił chęć ofiarowania 5,000 rs., z warunkiem, aby w Rostowie było wprost progimnazjum,

N. 31. **Przyjaciela dzieci wyszedł z druku** i zawiera: Nauka moralności.—Dwaj bracia, z francuzkiego tłomaczyła Marja R. — Z myśli Jana Kochanowskiego, wiersz Jana Prusinowskiego. — Pogadanki z ojcem. VI Archimedes, (z dwoma drzeworytami).—Konie i furman. Bajka przez A. Z. — Korespondencje.— W dodatku: Opowiadanie z drugiéj podróży Krzysztofa Kolumba, (z drzeworytami). — Złe towarzystwo, (wiersz) Adama Pługa. Stłuczona doniczka, przez M. Sk.—Dobroć i zły przykład.—Majówka, wiersz przez J. M.—Aphanapteryx imperialis (z ryciną).

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 32 r. 1872.

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1791

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

(Dalszy ciąg).

Starszy o pięć lat Filip, nadzwyczaj kochał małą siostrzyczkę; była ona dla niego bóstwem, któremu cześć składał. Zdrów, silny, wesoły, hałaśliwy, porywczy czasami aż do szorstkości, dumny ze swego rodu, który tak wielką zapewniał mu powagę ilekroć chciał się bawić z wiejskiemi dziećmi, ale zarazem szlachetny i prawy, był nadzwyczaj delikatny i uprzedzający dla Dolores. Gdy razem biegali po ogrodzie, usuwał gałęzie i kamyki aby nie upadła i nie stłukła sobie nóżki; przy stole wybierał dla niej najsmaczniejsze kąski; gdy ją ubrano w nową sukienkę, nie mógł się dość napatrzeć i nachwalić jéj piękności, podziwiał i pieścił gęste zwoje jéj jasnych włosów. Jeśli coś zawinił lub nie nauczył się lekcji, najsroższą dlań karą było pozbawienie widoku i towarzystwa Dolores, ale, że kara ta zarówno dotykała oboje, więc tylko w nader ważnych okolicznościach uciekano się do niéj.

Do rzędu najmilszych rozrywek obojga dzieci, należały przechadzki z Coursegol'em, po polach, wzgórzach i nad brzegami Gardony. Wiadomo jak urocze są na Południu poranki wiosenne. Oto jasnobarwne łoziny, rosnące gromadkami nad brzegiem rzeki, za najlżejszem powiewem wiatru pochylają się nad jéj wody, głaszcząc miłośnie ruchomą ich powierzchnię. Nieco daléj, u stóp pagórka, uwydatnia się wyraźnie ciemniejsza zieloność morw, drzew oliwnych i winnéj latorośli, i mocniejsze jeszcze cienie cyprysów i sosen, piętrzących się na piaszczystych szczytach wzgórz i kołyszących swe wierzchołki najfantastyczniejszem pochylaniem. Ta żywa roślinność różnobarwnych, stopniowanych odcieni, odbijała się w zwierciadlanéj wód powierzchni, obok wspaniałych arkad mostu Gard, których piękne i śmiałe zarysy mięszały się z nierozwikłanym chaosem traw, krzaków, drzew i liści.

Wykazując dzieciom piękności malowniczego tego krajobrazu, Coursegol budził w ich duszach pojęcie żywych i błogich wzruszeń, jakie wzbudzać może niebo, lasy i wody. Wyszukiwali rzadkie rośliny, łowili srebrno-łuskne ryby, łapali motyle,—nie było końca śmiechom, ucieczkom, pytaniom, na które Coursegol odpowiadał właściwie, bo jakkolwiek wiedza jego nie była zbyt rozległą, ale nabyte wiadomości rozumiał dobrze. Często w tych przechadzkach zapędzali się do groty w której Dolores przyszła na świat; wchodząc do niéj, dziewczę ani się domyślało że zwiedza swoją kolebkę.

Corocznie, z początkiem wiosny i przy końcu lata, cyganie przybywali w te strony i rozkładali swe koczowiska nad brzegami Gardony. Jakby tajemnem wiedziona przeczuciem, Dolores bała ich się bardzo, i oboje z Filipem unikali ich spotkania, szczególniéj od chwili, gdy raz stara jakaś cyganka, zauważywszy nadzwyczajne podobieństwo Dolores do Tipolety, przypatrywała się jéj bacznie, wychwalała piękność, i pokazując ją jednéj ze swych towarzyszek, długo coś mówiła po cichu. Odtąd podczas pobytu cyganów, dzieci nie wychodziły za obręb zamkowego ogrodu, i Coursegol nie odstępował ich ani na chwilę.

Dnie upływały cicho i spokojnie; dzieci uczyły się, bawiły, biegały, nie wiedząc nic o świecie i nie tęschniąc do niego. Nie obchodziły ich nic wieści nadchodzące z Paryża, a jeśli niekiedy dostrzegły chmurkę na czole ojca, lub cichą łezkę w oku matki, nie wiedziały czemu je przypisać, bo małe ich główki nie przypuszczały, żeby ktoś mógł się trapić wydarzeniami politycznemi i niepokojącemi przewidywaniami, o których wspominali stronnicy królewscy w listach pisywanych do margrabiego.

Piętnaście lat minęło od chwili jak Dolores została córką margrabiego do Chamoudrin; teraz była to już urocza dziewica, któréj piękność, ukształcenie i szlachetne przymioty, usprawiedliwiały w zupełności przywiązanie margrabiego i jego żony. Dotąd żyła szczęśliwa, spokojna, wesoła, lecz nadchodziła chwila w któréj zaznać miała pierwszą boleść i smutek.

Margrabia nie zapomniał postanowień przedsięwziętych kiedyś odnośnie do przyszłości syna. Nieustannie przemyśliwał nad tem, aby Filip mógł zostać wielkim panem, podnieść i wrócić dawną świetność swego rodu, podupadłego od ćwierci wieku. Filip skończył lat dwadzieścia, czas było przystąpić do wykonania dawno ułożonych planów. Był pięknéj i wyniosłéj postawy, odważny, śmiały, pełen rycerskości, dumny i ceniący wysoko rodowe swoje nawisko, jeśli nie wiekiem to usposobieniem i umysłem był już mężczyzną. Margrabia osądził, że czas wysłać go do Paryża i powoli czynił niezbędne do tego przygotowania. Dzięki wspólnéj oszczędności i rządności, przez te lat dwadzieścia zebrali dość znaczną summę, zapewniającą Filipowi na jakie lat pięć utrzymanie odpowiednie jego urodzeniu, a przez ten czas powinien umieć zaskarbić sobie łaskę królewską i otrzymać od niego jakiś przywiléj lub stopień wojskowy.

Daléj, margrabia starał się zapewnić Filipowi wpływowych protektorów, i w tym celu odnosił się do dawnych przyjaciół swéj rodziny. Kawaler de Florian, który niejednokrotnie gościł w zamku de Chamoudrin, przyrzekł zapewnić Filipowi poparcie księcia de Penthièvre;—mógł więc margrabia świetną przyszłość rokować synowi, a jednak mocno się niepokoił, gdyż był to rok 1783, w którym niechęć i zarzuty czynione tronowi, bardzo niepokojąco uwydatniać się zaczęły. Wiedząc o tem, margrabia wahał się i namyślał, czy może wysłać syna tak młodego i niedoświadczonego, na dwór szarpany rozdwojeniem i niezgodami, w pośród pospólstwa rozdrażnionego uciskiem, wielkimi podatkami, zbytkiem i rozpustą możnych.

Urodzenie się delfina rozproszyło wahanie i obawy margrabiego; uspokoił się zupełnie widząc z jakim zapałem naród wita następcę tronu, i zapominając o własnéj nędzy i cierpieniach, wydaje radośne okrzyki na cześć nowonarodzonego. Wyjazd Filipa został stanowczo postanowiony.

Filip i Dolores znali dawno zamiary margrabiego; wiedzieli, że przyjdzie im rozstać się z sobą; ale jakkolwiek na samą myśl o tem nie raz łzy stawały im w oczach, zwykła młodemu wiekowi nieoględność dozwalała im zapominać o smutku kiedyś dopiero spotkać ich mającym, i w obecnem szczęściu zatopić groźby przyszłości.

Ale czas ubiega, i co niezbyt przerażało, ponieważ było odległem, to jest możliwem, staje się teraźniejszością, a więc przybrało cechę rzeczywistośc. Pewnego dnia margrabia, najpierw żonie a następnie synowi objawił swoje postanowienie: z końcem jesieni, to jest za dwa miesiące, Filip miał z Coursegol'em odjechać do Paryża. Dolores całem sercem kochała Filipa, to też wiadomość ta boleśnem w duszy jéj odbiła się echem. Czyż podobna, aby miała się z nim rozstać! utracić brata, który był jéj podporą, towarzyszem zabaw, z którym nie rozłączała się nigdy, którego zawsze widziała obok siebie, od chwili jak zaczęła mówić, czuć i myśleć.

Odjazd Filipa, który był bardzo od wszystkich kochany, cały dom pogrążał w smutku. Margrabina bolała niewymownie nad oddaleniem jedynego syna, jednak kryjąc własne cierpienie starała się pocieszać Dolores, tłómacząc jéj niezbędność tego wyjazdu. Biedna dziewczyna tyle tylko wiedziała, że jéj zabierają brata i że przez lat kilka nie będzie go widzieć. Na kilka dni przed odjazdem, brat i siostra nie odstępowali się wzajemnie. Ileż to projektów układali gdy Filip powróci, ileż drogich nadziei słodziło gorzkie łzy rozstania!.. Filip był zamyślony, poważny, przysięgał siostrzyczce, że ją zawsze i wiecznie kochać będzie!...

Nadszedł nareszcie smutny dzień wyjazdu; zaraz rano margrabia zawezwał syna do swego gabinetu. Idąc do ojca Filip widział na dziedzińcu Coursegol'a zajętego przygotowaniami do wyjazdu; tuż obok stała Dolores, z załamanemi dłońmi, ze smutnie opuszczoną głową. Jéj twarz wybladła, podsiniałe, od płaczu zaczerwienione oczy, dowodziły bezsennéj we łzach spędzonéj nocy,—jednak mimo to była tak cudownie piękną, iż olśniony Filip zatrzymał się mimowoli, a po chwili pobiegł i uściskał ją serdecznie, szepcząc słowa pociechy.

— Filipie! drogi Filipie, zawołała łkając, dla czegoż trzeba nam się rozstać!....

— Moja i twoja przyszłość domaga się téj ofiary.... muszę być posłusznym ojcu.

— Właśnie to samo mówiłem panience przed chwilą; pan margrabia bardzo mądrze postanowił posyłając pana Filipa do dworu; dorobisz się tam fortuny i powrócisz obciążony zaszczytami i złotem. Dopiero to wtedy panienka będzie się cieszyć, rzekł Coursegol.

Mówiąc to starał się pokryć własne wzruszenie, gdyż jakkolwiek chętnie towarzyszył Filipowi, boleśnie mu jednak było rozstawać się z Dolores. Śliczne to dziewczę wychowało się prawie na jego ręku.

Przełożenia Coursegol'a i pieszczoty Filipa uspokoiły nieco strapioną Dolores; zarzuciła bratu ręce na szyję i patrząc nań zapłakanemi oczami, zawołała:

— Ale wśród przepychu i zgiełku w jakim żyć będziesz, pomyślisz niekiedy o twojéj Dolores, nie przestaniesz mnie kochać?

— Nigdy, nigdy cię nie zapomnę i do ostatniéj życia chwili kochać cię będę!...

Gdy słów tych Filip domawiał, nadeszła margrabina; popchnął z lekka Dolores w jéj objęcia, uściskał obiedwie i pobiegł do ojca.

Margrabia chodził po pokoju; ciężko mu było rozstawać się z synem.

— Wołałeś mnie, ojcze drogi.

— Tak, mój synu, chcę z tobą pomówić. Odjeżdżasz i za kilka godzin będziesz panem swéj woli; ani ja, ani matka twoja nie będziemy już mogli udzielać ci rad lub przestróg, i to właśnie wtedy gdy nowe rozpoczynasz życie, gdy może przyjdzie ci z ciężkiemi walczyć trudnościami. Dałem ci za towarzysza poczciwego Coursegol'a; nie uważaj go jak sługę ale jak przyjaciela. W naszéj nieobecności nie wahaj się zasięgać jego zdania: ale jeśli chcesz wyrobić się na samodzielnego człowieka, pamiętaj że zanim pójdziesz za czyjąkolwiek bądź radą, powinieneś ją dobrze rozważyć i wyrozumować. Bywają w życiu naszem położenia, w których nadzwyczaj prędko decydować się trzeba; należy więc wyrabiać sobie własny sąd i wolę, abyśmy sami umieli działać, w razie gdy nie mamy obok siebie osób, których z zaufaniem poradzićby się można. Zapisz sobie w pamięci dzisiejsze słowa moje, niech staną się dla ciebie niewzruszoną zasadą, na którą w całem życiu powoływać się będziesz.

Kochaj Boga, kraj i prawowite.o twego króla; bądź gotów życie twoje ponieść im w ofierze. Na dworze przyjdzie ci żyć z najrozmaitszymi ludźmi; napotkasz fanatyków, bezbożnych, niedowiarków, świętoszków i rozpustników. Nie naśladuj złych przykładów, nie daj się obałamucać sofizmatami, a zanim coś powiesz lub zrobisz, zastanów się pierwéj, czy się zgadza z tem coś winien religii, ojczyznie i królowi.

I tak godzinę przeszło rozmawiał z synem, streszczając w krótkich słowach nauki i zasady, jakie od lat dziecinnych wpajał w jego serce. Wzruszony do głębi duszy Filip, przyrzekł ojcu uroczyście. że nigdy w życiu nie zboczy z wskazanéj mu drogi.

Margrabia zamyślił się i rzekł znowu po chwili:

— Filipie, opuszczasz dom rodzinny może na długie lata,—muszę więc uczynić ci wyznanie, które aż do téj opóźniałem chwili.

— Cóż to być może, drogi ojcze?

— Dowiedz się, że Dolores nie jest twoją siostrą.

— Dolores nie jest moją siostrą!.. zawołał Filip, nagle poczerwieniał i zamilkł, jakby się przeląkł własnéj tajemnicy serca. Ojciec nie zwrócił na to uwagi i opowiedział wszystko z najdrobniejszemi szczegółami, a Filip nie mógł wyjść z podziwienia, jakby się to stać mogło, aby anielsko-piękna Dolores była córką jednéj z takich cyganek, jakie często spotykał w okolicy.

— Jednak pomimo to, mówił daléj margrabia, powinieneś zawsze kochać ją jak siostrę. Dolores zastąpiła nam Martę, zawdzięczamy jéj wyzdrowienie twéj matki i kochamy ją jak córkę. Nie mów jéj o tem ani słowa: niechaj się niczego nie domyśla, dopokąd nie uznam za stosowne wyznać jéj prawdę.

— O! przyrzekam że zawsze kochać ją będę, zawołał Filip, ponawiając w obec ojca przyrzeczenie jakie przed chwilą uczynił Dolores.

Wyszedłszy od ojca powrócił do Dolores, chcąc raz ostatni pomówić z nią samą; zbliżając się uczuł gwałtowne serca bicie,—nigdy nie wydała mu się tak piękną.

— Nie jest moją siostrą, powtarzał sobie.

I wzroku od niéj oderwać nie mógł, i wydawała mu się teraz jakby inną osobą. Pierwszy to raz spostrzegł jak piękne, maleńkie miała rączki, jak arystokratyczne śpiczaste paluszki, pierwszy raz nie mógł znieść blasku jéj ognistych wlepionych w niego oczów; zdało mu się że wielkie jéj warkocze, jak aureolą otaczające głowę, wydają woń jakąś upajającą. Ach! jakżeby pragnął odkryć jéj całą prawdę i następnie zawołać:

— Kocham cię!

W téj chwili, w tem młodem, czystem, nieświadomem sercu, powstawało gwałtownie nowe, nieznane, niezrozumiałe uczucie, i ulegając mu Filip objął ramieniem płaczącą Dolores, i przyciskając do serca wyszeptał słodkim głosem:

— Przysięgam, że zawsze, zawsze kochać cię będę.. zachowaj w pamięci to uroczyste moje przyrzeczenie.., kiedyś, lepiej je zrozumiesz.

Nadeszła godzina wyjazdu; szaraban zaprzężony parą silnych koni czekał u stóp pagórka, dokąd rodzina i domownicy mieli piechotą odprowadzić Filipa i tam ostatnie zamienić pożegnania. Filip prowadził matkę, Dolores szła obok margrabiego i Coursegol'a: na jéj zbladłéj twarzy osiadł głęboki smutek.

Smutek ten podzielali wszyscy, nawet cała przyroda. Jesień chyliła się ku końcowi, wiatr szumiał i ogałacał drzewa z pożółkłych liści, podnosząc w około tumany kurzu. Chwilami dął gwałtowniéj, dzikie, nieznane wydając świsty, z głośnem echem rozbijające się w dolinie mostu Gard. Niebo było zachmurzone, jakby nie chcąc blaskiem pogody urągać smutkowi rozstania.

— Nie zapominaj o Bogu i modlitwie, szanuj zdrowie twoje, mówiła margrabina.

— Pisuj do mnie często, prosiła Dolores.

— Bądź dzielnym i nieposzlakowanym, pamiętaj coś winien krajowi, przodkom i nazwisku które nosisz, dodał ojciec, I mówiąc to wszyscy spoglądali na Coursegol'a jakby polecając młodzieńca jego opiece.

Zamieniono ostatnie uściski, ostatnie pocałunki; powóz ruszył, Filip był już daleko i tylko tumany kurzu unosiły za nim, a cała kochająca go drużyna równie jak i on sam zapytywali siebie, czy bolesne to rozstanie nie było tylko sennem marzeniem.

Przed wyjazdem Filipa, postanowiono, że nie do rodziców ale do Dolores pisywać będzie, i w miesiąc po wyjeździe odebrała pierwszy list. Filip opisywał siostrze, jak łaskawie był przyjęty przez księcia de Penthièvre i księżnę de Lamballe, którym został przedstawiony przez kawalera de Florian, jak następnie księżna de Lamballe zawiozła go de Wersalu i tam przedstawiała królowéj Marji Antoninie i Ludwikowi XVI, którzy przyrzekli pamiętać o nim, a nareszcie donosił, iż zanim król raczy coś postanowić, dobry książe de Penthièvre kazał mu bawić na swoim dworze. Tak więc szczęśliwa przyszłość uśmiechała się Filipowi. Księżna de Lamballe protegowała go gorliwie, żył poufale z panem de Florian przebywając w Paryżu, a niezadługo z dworem ksi[illegible]cym miał się udać do Bretanij; przy pierwszéj sposobności przyobiecano mu kompanję w jednym z pułków królewskich.

Dobre te wiadomości napełniły radością serca rodziców. Margrabia napisał z podziękowaniem do księcia de Penthièvre, i w odpowiedzi odebrał zapewnienie, że książe szczerze zajmie się losem Filipa,—wszystko więc zdawało się świetną rokować mu przyszłość.

Od dnia odebrania tego pierwszego listu, znowu czoło Dolores zajaśniało dziewiczą pogodą; poddała się konieczności rozłączenia, którego jedyną osłodą było pisanie i odbieranie długich listów. Czas upływał; mieszkańcy zamku wiedli ciche i spokojne życie. Po dwóch latach Filip doniósł, iż dostał kompanję w pułku dragonów, a łaska ta którą zawdzięczał protekcji księcia de Penthièvre i księżnéj de Lamballe, była tylko pierwszym szczeblem do świetnéj przyobiecanéj mu karjery. Królowa oznajmiła, iż bierze go pod swoją opiekę i wkrótce da mu dowód swéj przychylności. Aby nie rozłączać się z ukochanym paniczem, Coursegol wrócił do służby i zaciągnął się do tegoż samego pułku.

I znowu minęło lat dwa.

Dolores miała teraz lat ośmnaście; najwprawniejsze pióro nie zdoła skreślić wiernego jéj portretu i wyrazić słowami nieprzeparty urok, jakim tchnęła zachwycająca piękność naszéj bohaterki. Wzrosła i rozwinęła się wśród pól i lasów, jak wyniosłe silne drzewa które przyozdabiały otaczające ją krajobrazy. Podtym względem była rzeczywiście potomkiem silnéj cygańskiéj rassy, co wśród tułaczego, koczujące go życia, zachowała pierwotną siłę i czystość krwi; jeśli nie odziedziczyła oliwkowéj cery, oraz dzi kiéj szorstkości charakteru ojca, to dla tego, że była zupełnie podobna do matki, któréj białość, piękność, delikatność i wrodzona jakaś godność, kazały wnosić, że nie była córką cyganów, ale raczéj jakiemś ukradzionem dzieckiem.

Dolores była odważna i energiczna jak ojciec,—blondynka biała, delikatna jak matka. Nie była to wielka i słabowita istotka, ale zdrowa, silnie zbudowana dziewczyna, któréj wielkie czarne jak węgiel oczy, zdradzały gorący temperament i niezłomną siłę woli. Wychowana przez cyganów, Dolores byłaby się stała zmysłową pięknością,—wyższe wychowanie nadało jéj wdzięk kobiecy, a ukształcenie umysłu owiało urokiem poetyczności.

W owéj epoce swego życia, gdyby nie oddalenie Filipa, Dolores byłaby najzupełniéj szczęśliwa. W nieobecności syna, margrabia i Edma podwojonem otaczali ją przywiązaniem. Jeździli z nią do Nîmes, Montpellier i Awinionu; gdzie się tylko pokazała otaczano ją największym szacunkiem, jako dziewicę znakomitego rodu noszącą świetne nazwisko Chamoudrin'ów, którzy, jak wszystko zapowiadało, w niedalekiéj przyszłości odzyskają dawną świetność i potęgę. Przytem cieszyła się nadzieją, że wkrótce zobaczy ukochanego brata.

„Mam nadzieję pisał, że niedługo będę mógł uściskać was wszystkich, ukochani moi, spędzić z wami kilka tygodni w Chamoudrin... Z jakiemże upragnieniem wyglądam téj chwili!...” W ostatnim liście pisał znowu: „Pragnąłbym lotem ptaka polecić do was, ale podróż moja coraz nowe napotyka trudności,—gdyby się stała niemożebną, przybywajcie do mnie do Paryża.”

Nie mogąc pojąć dla czego przyjazd Filipa mógłby się stać niemożebnym, pytała margrabiego o objaśnienie: od pewnego bowiem czasu, tenże odbierał od syna oddzielne listy traktujące o ważnych owczesnych sprawach. Na te często powtarzane pytania, margrabia odpowiadał ze smutnem zamyśleniem:

— Bo mogą zajść okoliczności nie dozwalające mu opuszczać swego stanowiska przy królu zajmowanego.

W poufnych listach pisywanych do ojca, Filip traktował obszernie o ważnych, straszną może przyszłością brzemiennych zawikłaniach. Była ta kwestja nader ważna, dająca wiele do myślenia rozważnym, postrzegawczym umysłom, a zwłaszcza ludziom żyjącym na prowincji, którzy będąc naocznymi świadkami klęsk i nieszczęść ludności, łatwo mogli przewidywać grożące niebezpieczeństwa. Nikt może nie przewidywał strasznych wypadków, jakie w lat kilka później tyle ofiar i krwi kosztować miały Francję, ale w całym kraju budziły się smutne jakieś przeczucia, zapowiadające niewysłowione nieszczęścia i klęski.

Rok 1788 pod najsmutniejszą rozpoczynał się wróż-

bą; Maurepas, Turgot, Necker, Coloune, zostawali z kolei powoływani do władzy, i żaden nie zdołał przywrócić krajowi spokoju i pomyślności. Brienne nie był szczęśliwszym;—niezgody i niechęci z każdym dniem się wzmagały. Parlamenta powstawały przeciw królowi, wadziły się ze szlachtą i duchowieństwem. Zgromadzenia obywatelskie na których Coloune tak świetne zakładał nadzieje, spełzły bezowocnie, finanse zupełnie były wyczerpane. Powstawano powszechnie na ociąganie się ze zwołaniem Stanów generalnych, w których ludzie rozumni i beznamiętni, widzieli jedyny środek zaradzenia powszechnemu niezadowolnieniu. Rozterki i niesnaski z każdym dniem wzrastały; parlamenta nie chciały zatwierdzać edyktów królewskich; wojsko nawet okazywało nieprzyjazne dla dworu usposobienia. Najokropniejsza nędza panowała w całym kraju, wzburzenie wzmagało się z dniem każdym.

Na Południu coraz groźniejsze objawiały się symptomata. W Nimes, pod pokrywką rozpraw politycznych, przebijała zawiść i współzawodnictwo religijne, a rozdrażnione jak podczas zniesienia edyktu Nantejskiego, wywoływały groźne rozdwojenie. Avinion, pragnący przyłączyć się do Francyi, był teatrem codziennych zamieszek, tak więc zamek Chamoudrin leżący w pośród tych dwóch miast, był świadkiem ich nieustannych waśni i rozterek, odbijających się silnie w okolicznych wioskach.

Po wszystkich prawie większych miastach, zbierały się zgromadzenia roztrząsające sprawy krajowe z wielkiem rozdrażnieniem. Szlachta zagrożona utratą przywilejów, lud od tak dawna będący ich ofiarą, odzywali się zarówno wyniosłym tonem, zdradzającym niecierpliwość jednych i uporczywą zastałość drugich. Głuche wrzenie wzmagało się każdodziennie, nawet w pośród klass niedopuszczanych dotąd do urzędów, ani do współudziału w sprawach krajowych. Wieśniacy, przeciążeni podatkami najniesprawiedliwiej rozłożonemi, spoglądali na szlachtę z nienawistną zazdrością, chaty zagrażały pałacom. Cała Francja kipiała niepokojem jak w przeddzień wielkich wstrząśnień.

Król, grzeszący brakiem stanowczości, sam nie wiedział co robić; otoczony zgrają intrygantów słuchał rad najsprzeczniejszych, przedsiębrał najlepsze postanowienia, ale nie miał siły ich wykonać.

Margrabia de Chamoudrin sam był naocznym świadkiem wielu zajść i faktów, o innych dowiadywał się z listów syna. Jeden z takich listów pisany w pierwszych dniach maja 1788 roku, wielkiego nabawił go niepokoju. Filip donosił ojcu o deklaracyi Parlamentu paryzkiego w obronie praw swoich, i o aresztowaniu radcy d'Esprémenil. Mówił o niezliczonych tłumach w owym dniu nagromadzonych po ulicach; o okłaskach jakim lud obsypywał członków parlamentu, o zniewagach miotanych na przedstawicieli władzy królewskiéj. Po przeczytaniu tego listu, na czole margrabiego osiadła czarna chmura smutku i niepokoju; postrzegłszy to Dolores, póty prosiła aż jej dał przeczytać list Filipa i wytłómaczył doniosłość zawartych w nim szczegółów.

Teraz już pojmowała dla czego przyjazd Filipa może być niemożliwym, i od téj chwili żywo zajmowała się wypadkami mogącemi taki wpływ wywierać na los i postanowienia Filipa! niedozwalającemi jej powitać ukochanego brata. Nie wiedziała, że w bliskiéj bardzo przyszłości, równie bolesne jak nieprzewidziane wydarzenie powoła go do Chamoudrin.

IV.

We dwa tygodnie później, Filip stał garnizonem w Wersalu, i tam odebrał następujący list od Dolores:

„Kochany Filipie. Drżącą ręką i z niewymowną boleścią muszę zawiadomić cię o strasznéj, niepowetowanéj stracie jakąśmy ponieśli. Uzbrój się w męztwo konieczne do zniesienia tak okropnego ciosu! w dniu wczorajszym ukochana matka twoja na zawsze nas porzuciła... Cios był tak nagły, bieg choroby tak gwałtowny, iż niepodobna nam było zawiadomić cię, abyś przynajmniéj nie był pozbawiony téj jedynéj, najwyższéj pociechy, ostatniego uścisku matki, która jeszcze krzepnącemi ustami nieustannie wymawiała twoje imię, i umierała błogosławiąc ciebie...

„Jeszcze przed cztérema dniami zupełnie była zdrowa i cieszyła się błogą nadzieją blizkiego twego przyjazdu,—podzielaliśmy jej radość. Wieczorem, wróciwszy ze zwykłéj przechadzki, skarżyła się na trochę gorączki i zimne przejmujące ją dreszcze, a nazajutrz lekka ta niedyspozycja w groźną zamieniła się chorobę. Najtkliwsze, najgorliwsze starania nasze, wszelki możliwy ratunek, nie zdołały zapobiedz nieszczęściu, i dziś możemy tylko płakać i schylić głowy przed ciężko dotykającym nas wyrokiem Bożym.

„Płacz, kochany Filipie, jednak nie szemrz przeciw woli Najwyższego; niech myśl, że święta matka twoja uprzedziła nas tylko do wspólnéj niebieskiéj ojczyzny, będzie ci pociechą i wzmocnieniem. Ale, Filipie drogi, przybywaj mi na pomoc. Wśród łez i jęków ojciec nieustannie wymawia twe imie, nie przestając przyzywać ukochanego syna. Zdrowie, może nawet życie ojca tego wymaga.

„A teraz, ty! którego wczoraj jeszcze nazywałam bratem, przyjm wyznanie jakiego po tych słowach pewnie się już domyślasz. Przed śmiercią, margrabina dała mi poznać prawdziwe moje urodzenie, jako też wszystkie szczegóły odnoszące się do dziwnéj przygody, która mnie sierotę, prawie żebraczkę, waszéj narzuciła rodzinie. W chwili gdy matka twoja ostatnie wydała tchnienie, margrabia rzucił się w moje objęcia, najtkliwsze dając mi nazwy, jak gdyby na łonie swego dziecka szukał pociechy i ulgi. Wtedy padłam mu do nóg:

— Panie margrabio, ja wiem wszystko.

— Jakto! zawołał, Edma powiedziała ci..... ach! przecież w takiéj chwili nie zechcesz przestać być moją córką!...

— Nigdy! nigdy! zawołałam, przyciskając go do serca.

„Filipie, ja ojca twego nigdy nie opuszczę; będę podporą, pociechą i osłodą jego starości, więc ponieważ nie przestaję być jego córką, powiedz, czy zezwalasz, abym nadal była ci siostrą?...

Dolores.

W kilka godzin po odebraniu listu, który tak bolesną wieść mu zwiastował, Filip opuszczał Wersal w towarzystwie wiernego Coursegol'a. Pomimo wzrastających niepokojów politycznych, pułkownik dał mu urlop nieograniczony, uwzględniając śmierć matki i smutny stan zdrowia ojca, wymagający niezbędnie jego obecności. Pędził pocztą dzień i noc, aby jak najśpiesznićj przybyć do Chamoudrin.

Kiedy przed cztérema laty rozłączał się z Dolores, zaledwie przestała być dzieckiem, teraz spodziewał się że ją znajdzie zmienioną, inną, piękniejszą jeszcze, i na samą tę myśl serce żywiéj mu biło.

Wzruszenia, przygody, wrażenia a nawet i burze napotykane niekiedy wpośród nowego życia jakie wiódł obecnie, nie zdołały zaćmić wspomnienia jaśniejącego na dnie jego duszy, ani zmienić powziętego postanowienia, aby nierozerwalnemi węzły połączyć się z towarzyszką lat dziecinnych. Teraz i ona wiedziała już, że żaden stosunek rodzinny nie łączy ich z sobą. W téj tak stanowczéj w życiu jego chwili, gdy odpowiedź Dolores miała stanowić o jego szczęściu lub niedoli, duszą jego miotało gwałtowne wzruszenie, spotęgowane wrażeniami ogarniającemi każdego wracającego do długo niewidzianych stron rodzinnych, w których już nie zastaje wszystkich ukochanych.

Myślał o matce któréj już nie miał zobaczyć, o ojcu owdowiałym i zrozpaczonym, o Dolores któréj pojmował smutek. Im bliżéj był domu, tem smutniejsze ogarniały go myśli. Jakże droga ta dobrze była mu znaną! Drzewa zdawały się doń uśmiechać i pochylaniem gałęzi niby ukłonem witać dawnego towarzysza. Słońce uradowane, jaśniejszym świeciło blaskiem. Ileż to razy przebywał tę drogę między Awinionem a Chamoudrin.

Siódmego nareszcie dnia nad wieczorem, powóz zatrzymał się na dziedzińcu zamkowym. Margrabia i Dolores siedzieli na tarasie od strony parku,—posłyszawszy turkot wybiegli na dziedziniec, właśnie w chwili gdy Filip i Coursegol wysiedli z powozu. Głośny okrzyk radości rozległ się w powietrzu, i długo rozłączeni rzucili się sobie w objęcia.

Filip nie mógł oczu oderwać od Dolores, cztery lata rozłączenia zamieniły dziewczątko w cudownéj piękności dziewicę. Jéj posągowe rysy, prześliczne jasno-blądwłosy, ogniste pełne tajemnic oczy, koralowe usta, głos dźwięczny wnikający do duszy, wyniosła kibić, ręce jakby wymodelowane przez najsłynniejszego artystę, składały całość tak doskonałą, iż przewyższała nawet rojenia Filipa.

Margrabia pragnął co prędzéj wejść do salonu, aby przy świetle przypatrzeć się ukochanemu synowi. I Filip także nadzwyczaj na korzyść się odmienił, spoważniał, ojciec poznawał w nim prawdziwego potomka szlachetnego rodu, a serce jego zabiło radością i dumą.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia. zaczęto mówić o przeszłości i o zmarłéj margrabinie.

Filip opisywał ojcu intrygi i zatargi panujące na dworze, nadzieje i obawy miotające krajem. Wystawiał łaskawość księcia de Penthièvre, którego opiece zawdzięczał dotychczasowe powodzenie swoje, uczynność kawalera de Florian i dobroć prześlicznéj córki księcia, księżnéj de Lamballe, najlepszéj przyjaciółki królowéj. Dolores słuchała z uwagą, i od téj chwili, wszystkie te osoby szanowane i kochane przez Filipa, zostały przez nią równie ukochane. W tych rozmowach, przy których Coursegol był przytomny i także nieraz ze zdrowem bardzo odezwał się zdaniem, Filip okazywał wiele zastanowienia, bystrości i trafności sądu, głęboką znajomość rzeczy i ludzi, oraz dar porywającéj wymowy i wysłowienia.

Około jedenastéj margrabia podniósł się, mówiąc do syna:

— Już późno, Filipie, a po tak utrudzającéj podróży, zapewne potrzebujesz wypoczynku.

— O! mój ojcze,—tak mi dobrze z wami, iż wcale nie czuję się znużonym. Pragnąłbym również pomówić z Dolores, tyle mam jéj do powiedzenia.

— No! to gawędźcie sobie choćby całą noc, ja pójdę się położyć.

To powiedziawszy uścisnął oboje i wyszedł z Coursegol'em,—Filip i Dolores pozostali sami. Jakkolwiek napozór obejście jego z siostrą było równie serdeczne i poufałe jak dawniéj, jednak teraz czuł w jej obecności jakiś niepokój, jakiego dawniéj nigdy nie doświadczał,—pomięszanie to zwiększyło się jeszcze gdy zostali sami. Przez długą chwilę milczeli oboje. Dolores siedziała w otwartem oknie, a owładnięta jakiemś nieznanem dotąd wzruszeniem i niepokojem, wpatrzyła się w daleką przestrzeń, oświetloną bladawem światłem księżyca. Filip

stokroć więcéj pomięszany, chodził po salonie, jakby oczekując sposobności zrobienia wyznania, które drżało mu na ustach. Nareszcie zatrzymał się, usiadł obok Dolores i rzekł wzruszonym głosem:

— Dolores, przynoszę ci odpowiedź na list któryś do mnie pisała.

Spojrzała na niego i teraz dopiero postrzegła jak bardzo był wzruszony. To odkrycie zwiększyło jéj własny niepokój,—zmięszana, i słówka odpowiedzieć nie mogła. Filip rzekł znowu:

— Najpierw wytłómacz mi, dla czego list twój ostatni nie był tak serdeczny jak dawniejsze? Dla czego ani razu nie mówiłaś mi w nim *ty*, nie nazwałaś bratem?

— Bo myślałam, że może od owéj chwili stanę się obcą dla ciebie, odpowiedziała cicho.

— Ty! obcą dla mnie!... zawołał zrywając się Filip. Od czterech lat znałem tajemnicę twego urodzenia, a nigdy cię tyle nie kochałem...... ale to nie dość, od téj chwili kochałem cię więcéj i inaczéj.

Dolores nie śmiała odpowiedzieć;—miałaż wyznać że od czasu gdy dowiedziała się, że nie jest jego siostrą, i ona także kochała go więcéj i inaczéj.

Filip mówił daléj:

— Zapytywałaś mnie w ostatnim liście, czy chcę żebyś i nadal była moją siostrą? O nie!... ty nie siostrą ale żoną moją zostań!..

— Ja żoną twoją!... zawołała zmieszana Dolores, zerwała się z siedzenia, a oczy jéj nagłą zajaśniały radością.

I jakby lękając się aby Filip za wiele nie wyczytał w jéj spojrzeniu, pochyliła głowę i opadając na krzesło całą twarz zasłoniła rękami. Filip ukląkł przed nią, mówiąc:

— Luba moja, ja pieszczę się tą myślą od chwili jak ojciec odkrył mi, że nie jesteś siostrą moją. Zostanie żoną moją, myślałem sobie; tym sposobem nic nas nie rozdzieli i dziewica którą tak długo nazywałem siostrą, któréj przybycie w dom nasz wróciło rozum mojéj dobréj matce, która życie jéj opromieniła szczęściem, tkliwą pieczołowitością osładzała ostatnie chwile, była jedyną pociechą i podporą mego biednego, owdowiałego ojca,—nigdy, nigdy nie rozłączy się ze mną, nie opuści domowego naszego ogniska. O Dolores! zaklinam cię, nie odmawiaj mi..... jabym nie przeżył tego!...

Słuchała z upojeniem tych wyznań Filipa; nigdy jeszcze w życiu swojem tak słodkiéj nie zaznała rozkoszy. Jestże to rzeczywistość czy tylko senne marzenie?... Zaniepokojony jéj milczeniem, Filip dodał smutnie:

— Gdyby matka moja żyła, pomówiłaby za mną, ona umiałaby cię ubłagać abyś mnie nie czyniła nieszczęśliwym.... nie odpychałaby tak wielkiéj miłości mojéj.....

— Przestań! przestań, przez litość! zawołała na co mamy łudzić się niepotrzebnemi mrzonkami...to istne szaleństwo.

— Jestże to szaleństwo że kocham ciebie? odrzekł z uniesieniem?

Dolores przypomniała sobie, jak niejednokrotnie rozmawiając z nią poufnie, margrabia powierzał jéj swoje widoki i nadzieje, których główną podstawą było świetne, bogate ożenienie się Filipa; jednak w obec miłości jaką natchnęła towarzysza lat młodocianych i którą sama podzielała całem sercem, nie miała siły zasmucać go bezwzględną odmową, ani też sama wyrzec się zupełnie nadziei, jaka w téj chwili zakwitła w jéj sercu.

— Filipie, rzekła słodkim głosem, tak nie spodziewałam się usłyszeć tego coś mi powiedział, iż nie potrafię odpowiedzieć ci w téj chwili. Potrzebuję zastanowić się, sumiennie zbadać moje serce, a wreszcie i ty powinieneś namyśleć się...

— Miałem już cztery lata czasu do namysłu....

— Ale ja dotąd ani pomyślałam o tem.

— Więc nie kochasz mnie?

— Kochałam cię jak brata, nie wiem czy teraz kocham cię inaczéj. Drogi Filipie, dodała, usiłując okazać się spokojną, pozwól mi oswoić się z myślą, jaką zbudziłeś w mem sercu, a gdy ono przemówi odpowiem ci szczerze, ale błagam cię nie naglij, zostaw mi czas do namysłu.

— Będę posłuszny, będę czekać, ale nie tracę nadziei...

Nazajutrz i dni następnych, Filip wierny przyrzeczeniu, ani jednem słówkiem nie przypomniał Dolores powyższéj rozmowy. Od lat czterech przywykł ukrywać tajemnicę swoją w głębi serca, i to tak starannie że nawet Coursegol wcale się jéj nie domyślał, łatwo mu więc było nie zdradzić miłości swojéj w obec ojca, a sama obecność ukochanéj dodawała mu odwagi i wzmacniała nadzieje.

Wprawdzie znał zamiary i widoki ojca, ale wiedział także jak bardzo był przezeń kochanym, ufał więc że margrabia chętnie poświęci dumne rojenia swoje, dla szczęścia syna i przybranéj córki. Wreszcie powoła się na pamięć matki, na jéj macierzyńskie przywiązanie do Dolores i rozrzewniony margrabia ulegnie nieomylnie.

Ożywiony tak błogą nadzieją, oczekiwał jéj urzeczywistnienia, szczęśliwy obecnością Dolores, ciesząc się jéj widokiem, rozmową i towarzystwem. Stosując się do życzenia Dolores, nie nalegał o stanowczą odpowiedź, ani słówkiem, ani spojrzeniem nie objawiał uczuć, na których zasadzał szczęście całego swego życia.

Dolores wdzięczną mu była za tę ofiarę, którą umiała ocenić. I ona także kochała Filipa, kochała całą siłą pierwszéj miłości.

W oczach jéj Filip, był najpiękniejszym, najdelikatniejszym, najszlachetniejszym, najdoskonalszym z ludzi.

We dwa miesiące po przyjeździe syna, margrabia odebrał z Marsylii list od krewnego swego, hrabiego de Mirandol, który złożony chorobą, prosił go aby przyjeżdżał jak najśpieszniej. Czyniąc zadość wezwaniu, margrabia natychmiast wraz z synem wybrał się w drogę. Hrabia de Mirandol powracał z Ameryki, gdzie ogromny zrobił majątek: od dawna już był wdowcem i miał tylko ośmnasto letnią jedynaczkę, mającą odziedziczyć całe jego mienie. Długie wędrówki nabawiły go ciężkiéj chronicznéj choroby; wracał teraz do Francji, spodziewając się że zmiana powietrza i widok rodzinnéj ziemi, podziała zbawiennie na jego zdrowie! Zawiodły go nadzieje, zaledwie wylądował w Marsylii, musiał położyć się zaraz do łóżka, a choroba postępowała tak gwałtownie, iż po upływie kilku dni nie było już nadziei ratunku. Hrabia znał rozpaczliwy stan swego zdrowia, a czując się bliskim śmierci, nie chciał jedynéj córki pozostawić bez opieki, i w tym celu napisał do margrabiego de Chamoudrin, aby powierzyć jego pieczy ukochane dziecię.

Margrabia nie zawiódł ostatniéj woli umierającego; przyrzekł zastąpić ojca hrabiance Antoninie de Mirandol, czuwać nad jéj majątkiem, i w kilka dni po swoim przyjeździe do Marsylji, zamknąwszy oczy umierającemu krewnemu, obaj z synem wrócili do Chamoudrin, w towarzystwie młodéj dziewicy przybranéj w grubą żałobę.

Antonina de Mirandol nie mogła się poszczycić uderzającą pięknością Dolores, jednak sympatyczna jéj twarzyczka niewysłowionym ku sobie pociągała urokiem. Brunetka, szczupła, średniego wzrostu, miała śliczne czarne pełne słodyczy oczy, obdarzone tak magnetyczną siłą, iż spojrzenia jéj przyciągały i kazały ją kochać.

— Dolores, rzekł margrabia, przedstawiając jéj Antoninę, przywożę ci siostrę; potrzebuje ona przywiązania i przyjaźni.

Dziewczęta uściskały się serdecznie, Dolores zaprowadziła pannę de Mirandol do swego pokoju w którym teraz obie mieszkać miały, mówiła do niéj z współczuciem, pocieszała, i od téj chwili pokochały się tak szczerze, jakby je długoletnia łączyła już przyjaźń.

Zapominając o własnych cierpieniach i smutku, Dolores żywo zajęła się Antoniną, tak potrzebującą ukojenia i pociechy; dzięki jéj staraniom panna de Mirandol uspokoiła się znacznie, oczy jéj już nie tak często zalewały się łzami.—Dolores opowiedziała przyjaciółce całą przeszłość swoją; powodowana szlachetną szczerością nie wahała się wyznać, że cały los i byt swój zawdzięcza margrabiemu. Antonina mówiła o ojcu i kraju w którym się urodziła. Francji nie znała zupełnie. Urodzona w Luzjannie, przeżyła tam młodociane lata, i z uniesieniem mówiła o téj uroczéj krainie, którą z żalem opuszczała. Chcąc rozerwać i zabawić przyjaciółkę, Dolores prosiła Filipa, aby jéj opowiadał o Paryżu, Wersalu, o życiu i zwyczajach dworu, a margrabia, nie bez myśli starał się wykazywać hrabiance dowcip i dar opowiadania, oraz wielkie przymioty serca i umysłu, jakiemi natura obdarzyła jego ukochanego syna. Rzeczywiście Filip mówił z takiem życiem, iż mimowolnie porywał serca słuchaczów; to też od pierwszéj zaraz chwili poznania, Antonina pokochała go, sama nie wiedząc o tem, jak Desdemona zachwycona wymową Otella.

Szczęśliwy! komu dano poznać jasną jutrzenkę pierwszéj miłości, wschodzącéj w młodem i czystem sercu! Najpierw pojawia się przyćmione światełko, ukazujące jakby w zamglonéj oddali rysy i przymioty ukochanéj istoty. Zwolna jasność się zwiększa, zaokrągla kontury, rozjaśnia co dotąd pozostawało w cieniu, serce wyraźniéj widzi głębie swoje, w których odbijają się i zostają, jakby w zwierciadle zatrzymującem odbite postacie, wdzięki istoty która je zachwyciła i lubem upaja marzeniem. Wtem nagle rozdzierają się ostatnie zasłony i ukazuje się słońce, i całą istotą przejmuje ciepłem, ogarnia płomieniem i nowem ożywia życiem. Wszystko to jest dziełem miłości.

Po paro-tygodniowym pobycie w Chamoudrin, Antonina zwierzyła się Dolores, iż Filip bardzo jéj się podobał; chwaliła jego piękność, uprzejmość, dobroć i ten nieprzeparty urok jaki roztaczał w koło siebie, nie domyślając się, jak zwierzenia te boleśnie raniły duszę przyjaciółki. Wyznała iż o tem tylko marzy, aby kiedyś mogła zostać margrabiną de Chamoudrin. Jak mig błyskawicy odkrywa nagle przerażonemu wędrowcowi niewidzialną dotąd przepaść na ciemnej drodze, tak to wyznanie Antoniny pierwszy raz jasno wykazało Dolores, zupełne prawie niepodobieństwo zaślubienia Filipa. Dotąd przewidywała zaledwie dzielące ich przeszkody, teraz widziała je wyraźnie. Mogłaż współzawodniczyć z Antoniną?. Tak, bez wątpienia, gdyby radzono się tylko miłości żyjącej w jéj i Filipa sercu?

(d. c. n.)

Opis do N. 32.

(Dalszy ciąg).

N. 26. Krzesło mezkie

które po złożeniu stanowi laskę.



N. 2. Spódniczka fałdowana i kaftanik z kamizelką, dla chłopczyka od lat 2 — 3. Zobacz rycinę 14.

Postument składa się z trzech prętów drewnianych, mających 56 cent. wysokości, które odrobione są w ten sposób, iż złożone pasują ściśle do siebie, i stanowią pręt okrągły, mający 12 cent. obwodu. Pojedyncze części postumentu, połączone są z sobą żelazną śrubą, którą przy rozkładaniu stołka trzeba trochę rozluzować. Siedzenie stanowi trójkąt urządzony z pasa czyli taśmy mocnéj 7 cent. szerokości. Pod rogi trójkąta daje się kawałki skóry taśmą podszytéj i przymocowanéj w ten sposób, iżby tworzyła torebki, w które wsuwa się końce prętów. Pasy przyozdobione są kolorowym wyszyciem, na które Tygodnik dostarcza wiele wzorów.

N. 27—28. Męzka podróżna koszula

wraz z przyszytemi przodami od kamizelki.

Krój N. XII Fig. 51—55.

N. 27 przedstawia z przodu a N. 28 z tyłu koszulę podróżną męzką. Do przodu przyszyta jest długa kamizelka z kieszeniami. Fig. 51 podaje krój stanu i oznaczenie formy kamizelki. Koszula szyje się z kolorowego perkalu zwykłym sposobem. Części kamizelki kraje się z piki, dodaje podszewkę, wszywa kieszenie, stębnuje brzegi obrabia dziurki, słowem wykończa kamizelkę osobno, i dopiero podług oznaczenia liter zeszywa razem z bocznym szwem koszuli i na ramionach. Do zapinania kamizelki i kieszeni służą guziczki z konchy perłowéj.

Z boków paska łączącego dolne klapy z kamizelką, przyszyte są troczki podwójne, które się z tyłu na sprzączkę zapinają; służą one do obciągnięcia i niedozwalają gurbieniu kamizelki.



N. 1. Sukienka z tuniką i stanikiem z baskiną dla dziewczynki od lat 7 — 9. Przód sukienki, z popielatéj alpagi. Zob. ryc. 4 podaną z tyłu i tunikę ryc. 16 Krój N. XI. Fig. 42.



N. 4. Sukienka z baskiną i tuniką dla dziewczynki od lat 7 — 9. Krój N. XI. F. 42 — 50. Zob. N. 1, 16, i N. 13 w Tyg. N. 31.

N. 5. Bluzka z fałdowanym karczkiem i majteczki dla chłopca małego. Krój jak do ryc. 27 w N. 18 Tyg.



N. 6. Sukienka muślinowa z haftem i koronkami dla małéj panienki. Krój jak do ryc. 7 i 15. Garnirunek ryc. 15 w N. 31 Tygodnika.



N. 7. Sukienka pikowa dla małéj panienki. Zob. N. 8. 9 i 10 i garnirunek ryc. 13 w N. 31 Tyg. Krój i opis na arkuszu z formami N. III Fig. 6—11.

N. 29. Szydełkowa rozeta

z frywolitowemi pikotkami, służyć mogąca do serwetki



N. 3. Sukienka z wyciętym stanikiem i baskiną dla małéj dziewczynki. Krój jak do N. 7.

ryc. 7 w N. 31 Tygodnika.

Kółko z 10 o. łań. obrabia się 16 o. ści. do których daje się 8 piko. pentelkowych; po wykończeniu kółka trzeba nitkę zakończyć i uciąć. Rząd drugi zaczyna się od 3 wysokich słupków, robionych w jeden pikot sposobem tunetańskim, to jest zatrzymanych na igle i złączonych w górze 1 o. ścisłem. Słupki te są przedzielane 6 o. łań. Drugi rząd obrabia się 90 śc. ocz. do których dodane jest 45 pentelkowych pikotów. W 4-tym rzędzie daje się zawsze 1 o. ści. w każdy pikot i 3 o. pow. Rząd 5-ty składa się * z jednego o. ści. 5 o. łań., 1 trzy razy nawijanego słupka zrobionego razem z pierwszym z 5-ciu o. łań 1 sł. 3 razy nawijanego, znów 1 sł. i 5 o. łań. złączonych razem. Powtórzyć od * razy 14.

Rząd 6 stanowią ząbki z 9 o. łań. przyrabiane do rzędu poprzedzającego o. ścisłemi. Ząbki te obrabia się 4 o. ści. 4 pik. pentelkowemi, przedzielanemi 1 o. ścisłem.

Nakoniec w ostatnim rzędzie robi się 1 o. ści. w pierwszy pik. ząbka, 3 o. po o. śc., 7 o. pow., 1 ści. łańcuszkowe w drugie z 7-u powie. dwa razy po 5 o. po. przyrabianych 1 o. ści, łań. także w drugie z 7-miu o. powietrznych, potem 1 o. po. 1 ści. 3 pow. 1 ści. i 3 powietrzne.

N. 30. Rozeta

szydełkowa z łańcuszkowemi pikotami.

Zaczyna się kółkiem z 10 o. po. obrobionem 24 o. śc. n. b. w téj rozecie po każdem

obrobieniu urywa się nitkę, a rząd następny zaczyna na nowo.

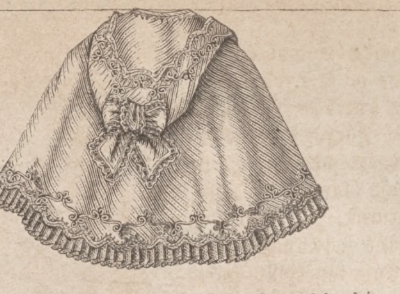
Rząd 2-gi. * 10 o. łań. przyrobić 2 ma o. śc. łań. robionemi od spodu w obrobienie poprzedzające; 4 o. łań. 1. o. łań. 1 o. ści łań. w 6-te z 10 -ciu poprzedzającycl; przez co tworzy się pentlica; powtarzać 7 razy od * poczem ostatnie oczko tego obrobienia złączyć z 1-szem i nitki dobrze zakończyć od spodu. W 3-m obrobieniu, daje się * 16 pow., 2 ści. łań., 5 pow, 1 ści. łań w 11. te z 16 o. pow. Łączenie z rzędem poprzedzającym wyraźnie wskazane na rysunku. W ostatnim rzędzie obrabia się każdy ząb * 6-cioma o. ści. ze 7 o. po, 1 o. ści. ze 7 o. po., 1 o. ści. ze 7 po. i jeszcze 6 o. ścisłemi.



N. 8. Pelerynka do sukienki ryc. 4 i 7. Krój i opis na arkuszu z formami N. III. Fig. 10—11.



N. 11. Kaftanik do sukienki N. 12 Krój N. V. Fig. 18—21.



N. 9. Peleryna do sukienki ryc. 4 i 7, podana z tyłu. Zobacz N. 8.

te są tylko wązką koronką, a rękawy takąż koronką i ruszą.

N. 35 i 36.
Krój i opisy w dodatku.

N. 37. Suknia

z haftowaną muślinową tuniką i bluzką.

Krój tiuniki N. VIII Fig. 35—37. Deseń haftu Fig. 25—25*a* i ryc. 20 w N. 31 Tygodnika.

Przy jasnéj jedwabnéj sukni ślicznie odbija tunika biała muślinowa, któréj bogaty szlak haftowany jest jedwabiem czarnym, ściegiem dzierganym, przewlóczonym i supełkami.

Haft powinien być z boków tiuniki zwężony a z przodu i z tyłu do środka rozszerzony. W tym celu deseń Fig. 25 i 25a łączy się podług oznaczonych gwiazdek i rysuje w jednym ciągu. Jedwab przed robotą powinien być w gotującéj wodzie zaparzony, ażeby nie puszczał w praniu. Długie wązkie listki są dziergane, różane zaś i drobne gałązki tylko wywodzone.

Pod róże i wszystkie inne kwiatki, podkłada się biały perkal, ażeby wypukléj wyglądały. Wolant plisowany 12 do 15 centy. szeroki, jest do dołu tiuniki pliską przystębnowany. Przy podłużnym wykroju stanika i przy półszerokich rękawach, plisowanie daje się na dwie strony, środkiem zaś naszywa czarna koronkowa wstawka. Pasek, szarfy i kokarda przy włosach, są ze wstążki, tego co sukni koloru.



N. 12. Ubranie dla chłopczyka. Spódnica fałdowana, stanik wycięty i kaftanik. Zob. Tyg. N. 11 i 13 i ryc. 12 w N. 31. Krój Fig. 14—17.

N. 14. Sukienka dla chłopczyka. Stanik pod szyję z kamizelką. Krój i opis N. IV. Fig. 12—13.

N. 31—33. Deseń

na pas haftowany na meble ogrodowe lub balkonowe.

Próbki ściegów N. 32 i 33.

Na szaro zielonkowatym, gładkim drelichu, naszywa się dwa razy podług deseniu orzechowa welniana plecionka białą bawełną, ściegiem krzyżowanym. Środkiem między plecionką, naszyta biała bawełniana tirsadka, któréj próbkę podaje N. 32. Muszki, arabeski i listki, wyszywa się jedwabiem orzechowym i białą bawełną, ściegami na próbce N. 33 wyraźnie wskazanemi.



N. 15. Sukienka muślinowa z haftem i karonką. Rysunek podany z tyłu do N. 6.



N. 10. Sukienka pikowa z plisowaniem i haftem podana z tyłu Zobacz N. 7 i wzór haftu ryc. 25 w N. 28 Tygod.



N. 13. Sukienka podana z przodu do N. 12. Krój i opis przy N. 12.

N. 34. Vêtement

z grenadiny w pasy. Krój jak do ryc. 1 w N. 18 Tyg.

Do jasnéj jedwabnéj sukni z wyciętym stanikiem, krótkiemi rękawkami, i spódnicą powłóczystą oszytą kilku wolantami dodany jest vêtement z czarnéj grenadiny w pasy atłasowe. Garnirunek jego składa się z riuszy grenadinowéj, oszytéj u dołu koronką 4 centym. szeroką, z pod któréj wychodzi bardzo szeroki koronkowy wolant. Otwarte przody vêtement, oszy-



N. 17. Stanik pod szyję z baskiną, przód do N. 18. Krój i opis na arkuszu z formami N. VII Fig. 31—34.



N. 16. Spódniczka wraz z tiuniką, do ubrania dla dziewczynki ryc. 1 i 4. Krój spódnicy jak do ryc. 46 w N. 18 Tygod.

N. 38. Kostium

z tuniką i peleryną. Krój w dodatku N. VIII i IX.

Stanik, tiunika i pelerynka, odrobione z piaskowego kaszmiru służyć mogą do sukien czarnych fijołkowych i brązowych. Forma tiuniki na Figurze 35 — 37 podana, dopełnia się prostym brytem mającym 103 cen.



N. 18. Stanik z baskiną rysunek podany z tyłu do N. 17.



N. 19. Szeroki rękaw z zaszytemi fałdami, do lekkich sukien. Krój N. X. Fig. 41—41a.



N. 21—22. Peleryny z kołnierzem kapturkowym. Krój na arkuszu z formami. N. IX. Fig. 38 i 40.



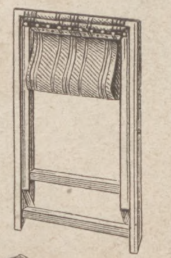
N. 20. Szeroki rękaw z fałdami od łokcia dodanemi, do sukien lekkich. Krój N. X Fig. 41—41б.

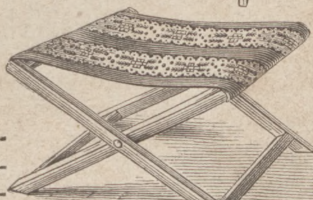
średkowej długości, 80 centy: szerokości. Tiunika podpina się od spodu na szwach od tylnych klinów, za pomocą guzików przyszytych 11 cen. od góry, i pentelek danych 26 centy: niżej. Fig. 38 i 39 podaje formę na pelerynkę i kapturek, pod które powinna być dana jedwabna podszewka. Kostium ten tylko garnirunkiem różni się od ryciny 35, która przedstawia go z przodu. Przy rycinie 38 garnirunek sta no w i plisa 9 centy: szeroka sztywnym muślinem podszyta i jedwabnemi wypustkami zakończona, na której naszywa się wstawka koronkowa wełniana, tego co suknia koloru, mająca 5 cent. szerokości. Brzeg tiuniki oszyty takąż koronką, 11 cent. szeroką. Przy pelerynce i kapturku plisy i koronki powinny być węższe.

Kokardy do kapturka i przodu pelerynki robią się z téj c) wypustki i podszewka materji, z pasków przystych 8 cent. szerokich z brzegów trochę wysiepanych. Szmuklerska rozeta, z sutemi kwastami, przystraja róg kapturka. I tu kosztowne koronki mogą być siatką zastąpione gipiurową, której tło robi się z nici lub jedwabiu koloru sukni, a wyszycie daje cienką włóczką.

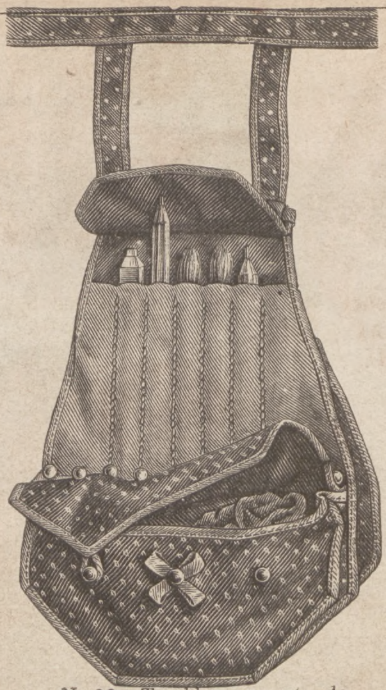


N. 24. Torebka dla malarek. Dolna strona do N. 23. Krój N. VI. Fig 22—24.

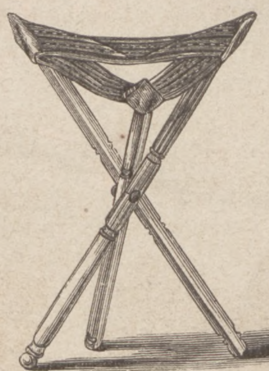




N. 25. Krzesło damskie płasko składane które można włożyć w tekę z rysunkami. Desenie do wyszycia zobacz w N. 25 Tyg. ryc. 25—27.

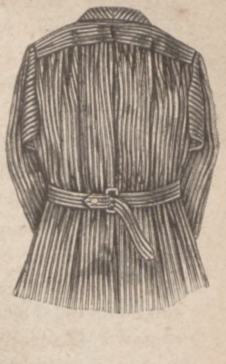


N. 23. Torebka przyszyta do pasa dla malarek. Krój N. VI Fig. 22—24.





N. 26. Krzesło składane męzkie, które można ześrubować jako laskę. Desenie do wyszycia kolorami ryc. 25 w N do 27 25 Tyg.



N. 28. Tylna strona koszuli męzkiéj podróżnéj. Krój N. XII Fig. 51—55.



N. 27. Męzka koszula podróżna. Przód wraz z przyszytą kamizelką. Krój N. XII F. 51—55.

tylko zamiast wina dodaje się soku cytrynowego. Zwykle używane są na to pasówki, bonkrety, cukrówki lub inne dobre gatunki.

Sok z czarnych wisien.

Zrobić syropu z dwóch funtów cukru do dwóch funtów wisien, wybranych z pestek i nalać gorącym wiśnie ułożone w głębokiej sala ter ce, na drugi dzień przegotować sok i gorętszym nalać wiśnie, a trzeciego dnia gotującym się sokiem. Następnie odcedzić część pewną na użytek w potrzebie soku, resztę zaś wisien lekko przesmażyć i zachować jako konfiturę.

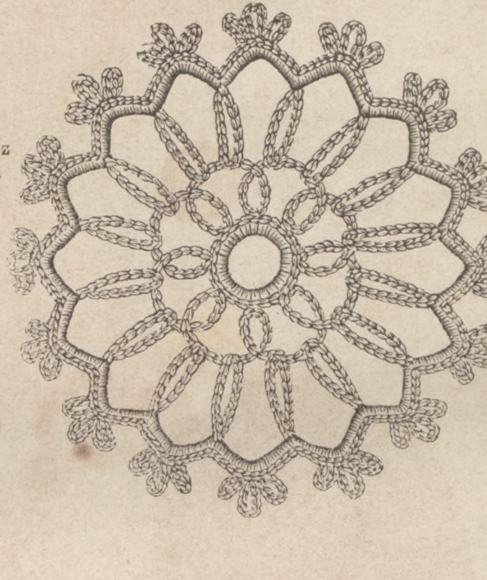
P. S.

Komput z melona.

Obrać melona dosyć grubo aby tylko zostały części dojrzałe bez zielonego, pokrajać w grube plastry i zagotowas krótko w syropie, złożonym z wina, wody, dużéj ilości cukru i soku cytrynowego. Wyjąwszy na salaterkę owoc, wygotować syrop osobno do należytéj gęstości i oblać melona.



N. 29. Szydełkowa rozeta z pikotami łańcuszkowemi i pentelkowemi. Do ryc. 7 w N. 31 Tygodnika.



N. 30. Rozeta szydełkowa z pikotami łańcuszkowemi. Do ryc. 7 w N. 31 Tygodnika.



N. 31. Szlak na meble ogrodowe lub balkonowe. Wyszycie kolorowemi jedwabiami lub włóczką i plecionką na starym drelichu. Deseń na ark. z formami Fig. 26.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Komput z jabłek.

Dobry gatunek jabłek jak są papierówki lub inne winkowate i kruche obrać, przekroić na połówki, wyrznąć środek i kłaść do zimnej wody żeby nie szczerniały. Stosownie do ilości jabłek wziąść cukru np: ćwierć funta, szklankę wody, kawałek cynamonu i zrobić syrop w płaskim rondlu, w który się kładzie warstwę jabłek i zagotowywa, ostrożnie wyjmuje łyżką durszlakową na salaterkę i znów napełnia rondelek jabłkami, układając je obok siebie, aby się nie rozgotowały. Na ostatek po wyjęciu jabłek przecedzić syrop wlać pół szklanki wina francuzkiego zagotować razem i oblać ułożone jabłka, które się ubierają rozmaitemi galaretami owocowemi i konfiturami. Komput z gruszek robi się tak samo



N. 32. Sposób roboty głównych części deseniu do N. 31.

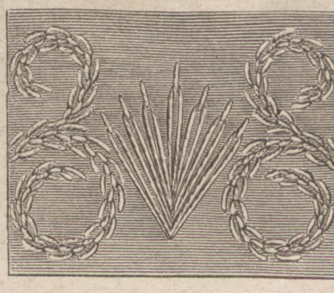
Ratafia wiśniowa.

Wziąść wisien podług proporcji powybierać z nich pestki, wsypać do gąsiorka i nalać na to spirytusu kwart 3. Gdy tak postoją parę tygodni, wylać je na sito, spirytus zlać do gąsiorka, a jak się dobrze ustoi przecedzić powoli, ośm funtów cukru rozpuścić w trzech kwartach wody, dolać wódki francuzkiéj 3 kwarty, dolać spirytus wiśniowy i jeszcze przefiltrować przez gęste sitko włosienne.

PRZEPIS

ciastek kruchych à la grande mère.

Wziąść 15 żółtek ugotowanych, utrzeć w donicy, włożywszy w te żółtka funt 1 masła



N. 33. Sposób wykonania gałązek i listków do N. 31.

młodego, tyleż mąki, dwa duże kubki tłuczonego cukru, trochę tłuczonéj wanilii i dwa całe jajka, to utarłszy na masę, rozciągnąć na opłatku, a porobiwszy z téj massy cienkie wałeczki grubości ołówka, obłożyć wałeczkiem placuszek i porobić również z takiego wałeczka w środku kratkę.

Wstawia się w piec dla lekkiego przyrumienienia, poczem nakłada się konfitur w te kratki stosownie do tego jakie kto posiada: maliny lub wiśnie smażone i obsusza trochę w piecu.

J. W.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Towarzystwa pożyczkowe i oszczędności. W *St. Pet. Wied.* przytaczają następne szczegóły o stowarzyszeniach w gubernii nowgorodzkiéj. Do września roku zeszłego istniało w niéj 13 Towarzystw. Oprócz tego ustawy dwóch Towarzystw mających na widoku skorzystanie z pożyczki z sum gubernialnych, zostały przedstawione do zatwierdzenia ministerstwa skarbu. Do dnia 1 kwietnia r. b. otwarto w gubernii, przy pomocy ziemstwa, ogółem 16 Towarzystw, a 6 przedstawiono do zatwierdzenia rządu; jest zaś w rozpatrzeniu zarządu gubernialnego, lecz jeszcze nie otrzymało dalszego biegu z rozmaitych przyczyn, 16 ustaw nowych Towarzystw. Oprócz tego w powiecie wałdajskim utworzyło się jedno Tow. z inicjatywy i przy wsparciu pierwotnem osoby prywatnéj, a w pow. staroruskim sformowało się Tow. bez pożyczki od ziemstwa guber. Uznało ono za możebne utworzyć kapitał obrotowy z kapitału należącego do gminy wiejskiéj, które wydało uchwałę w tym duchu. Liczba członków 11 istniejących pod tenczas Tow., z wrześniem r. 1871 dochodziła do 1800; z d. 1 stycz. 1872 r. wzrosła o 2,500, a w kwietniu wraz z członkami otwartych w r. obec. Tow., przechodzi o wiele 3000 osób. Nowe Tow. formują się szczególniéj łatwo w miejscowościach sąsiadujących z temi, w których już istnieją te instytucje. Są włości, które nie poprzestając na jednem, pragną mieć takowe w każdéj parafii cerkiewnéj. Niektórzy księża zaczynają brać w téj sprawie żywy udział. Przykład tych, które się utworzyły w roku zeszłym, działa nader pociągająco.



N. 34. Ubranie z vêtement z grenadiny w pasy. Krój jak do ryc. 1 w N. 18 Tyg.

N. 35. Ubranie z vêtement i peleryną z bastu, ze szlakiem haftowanym. Tylna strona ryc. 38 deseń szlaku ryc. 19 w N. 31. Krój N. VIII i IX F. 35—39.

N. 36. Ubranie z bluzką, baskiną i tiuniką muślinową z wstawkami wywodzonemi na tiulu. Krój do N. VIII Fig. 35—37.



N. 37. Suknie z tiuniką i bluzką haftowaną. Wzór haftu ryc. 20 w N. 31 Tyg. oraz Fig. 25 i 25a. Krój tiuniki N. VIII na arkuszu z krojami.



N. 38. Ubranie z tiuniką i peleryną z kaszmiru, oszytemi koronką tego samego koloru. Przód ubrania ryc. 35. Krój N. VIII i IX Fig. 35—39.